KORNEL MAKUSZYŃSKI

AWANTURY ARABSKIE

ÓSMA PODRÓŻ ŻEGLARZA SINDBADA

Następnego dnia zebrali się znowu przyjaciele w domu bogatego Sindbada (oni i ów poganiacz osłów, który mu zazdrościł skarbów), dziwiąc się niepomiernie, czemu ich zaprosił na ucztę po raz ósmy, wszystko im już o swoich cudnych opowiedziawszy podróżach. Wydłużyły im się twarze, gdyż zamyślili się głęboko, wzdychając od czasu do czasu, co bystrości ducha wielce pomaga, świeżym go bowiem rzeźwi powietrzem.

Tak ich zastał wspaniały żeglarz Sindbad, od którego nie było sławniejszych nie tylko w Bagdadzie, lecz we wszystkich ziemiach zamieszkanych przez wiernych.

Skłonił im się poważnie, polem wonną pogładziwszy brodę w te odezwał się słowa:

- Myślałby kto, przyjaciele moi, kto by spojrzał w tej chwili na wasze twarze, że z przyrodzenia tępego jesteście umysłu, jak parszywe muły, które łatwo można kupić przed domem Hassana; ja zaś wiem, że to tylko zdziwienie maluje się na waszych twarzach i że rozjaśnicie wasze zmarszczone czoła, dowiedziawszy się, jaką w tym miałem przyczynę, aby was po raz ósmy zaprosić na ucztę, chociaż mięso baranie bardzo podrożało, a kosz daktylów kosztuje bodajże więcej, niźli są warte wszystkie szmaragdy w skarbie Kalifa. Siadajcie tedy i jedzcie, każdy wedle sił, a nawet ponad siły, aby nikt nie powiedział, że żeglarz Sindbad, wielkie zebrawszy majątki, żałował przyjaciołom swoim baraniego mięsa i obfitości czosnku. Potem wam powiem, nie nudząc was zbytnio, dostojni przyjaciele i ulubieńcy Proroka, o co rzecz idzie.

To rzekłszy klasnął w ręce, a niewolnicy, jakby spod ziemi wychodzący, zaczęli znosić na złotych i srebrnych półmiskach dymiące potrawy.

Zadrgały wszystkim nozdrza, każdy bowiem - dzień swój na pracowitym spędziwszy szachrajstwie: ten przy ważeniu korzeni na wadze, do paralitycznego podobnej człowieka, ów przy krajaniu sukna, tak delikatnego, że mu się kurczyło w dłoniach i zawsze go było mniej, niźli trzeba - pragnął teraz pokrzepić ciało, czego Prorok nie zabronił, raczej polecił, jeśli tylko nie trzeba było płacić.

Przystąpili tedy do dzieła z namaszczeniem, nie kwapiąc się zbytnio, w głębokim przekonaniu, że i najdzikszy za życia baran nie ucieknie z półmiska, tym bardziej, że na kawały został poćwiartowany sprawną ręką czarnego kucharza, któremu oby Allach dał długie dni, jak najmniej zaś dzieci kradnących rodzynki i czosnek spod ręki.

Orał tedy jeden po drugim wielkie kawały i upojony wonią mięsa, przyprawionego siedemdziesięciu siedmiu korzeniami, przymykał z lekka oczy, jak gdyby zobaczył otwarte

drzwi do raju; inny zaś, tuż obok siedzący i czekający swojej kolei, otwierał oczy szeroko i mruczał niespokojnie odpowiedni werset z Koranu, w którym między innymi takie słychać było błogosławieństwa: „Ręka mu omdleje, tyle bierze ten złodziej, większy mający brzuch niż rozum… Obyś się udławił, psie nieczysty, wuju wielbłąda, a bracie szakala!… Że też Prorok w pysk go nie trzaśnie widząc, co czyni ten syn Ali Baby…”

Kiedy zaś przyszła na niego kolej, uśmiechał się błogo, następny zaś życzył mu ze szczerego serca wszystkich chorób, jakie tylko są w Bagdadzie, trądu zaś przede wszystkim, albowiem trwa długo i nie można się do niego tak łatwo przyzwyczaić.

Jedli potem w milczeniu i z wprawą smakując, i poznali po przewybornym smaku baranim, że dobrze jest na świecie i że panuje nad nim błogosławieństwo, Jakżeby bowiem inaczej bydlę tak nierozumne jak baran tyle na sobie mogło mieć tłuszczu? Wiele im tak upłynęło godzin, aż poczuli przyjaciele Sindbada, że są syci, więc oblizawszy palce, aby nie poplamić sukni, maczać poczęli ręce w srebrnych misach, pełnych wonnej wody, która w tejże chwili wiele utraciła ze swej wonności i stała się gęsta jak wody tego morza, o którym mówią, że jest martwe.

Kiedy zaś niewolnicy, odwracając głowy i daleko przed sobą dzierżąc srebrne misy z ową wodą, zniknęli - dal znak żeglarz Sindbad, aby przyjaciele zmienili się w słuch; usiedli tedy w krąg i trawiąc słodko, słuchali, co im ma rzec.

On zaś mówił:

- Siedem razy byliście u mnie, a ja wam opowiedziałem o siedmiu moich podróżach, które spisane są na oślej skórze w bibliotece kalifa, w zbiorze bajek z Tysiąca i jednej nocy.

Powiedziałem wam wszystko, co było i czego nie było, bo nie na to dał Allach mowę swemu słudze, aby ten mówił prawdę. On ją bowiem zawsze rozezna, a więcej go. nic nie obchodzi…

- Powiedziałeś, Sindbadzie! - rzekł na to bogaty farbiarz spod Wschodniej Bramy.

Zaś Sindbad:

- Nie będę ci wypominał tych dwóch garści daktylów i bakalij, któreś ukrył w zanadrze, mniemając, że nikt nie patrzy, to ci tylko powiem, że kto najadłszy się, chce mi przerywać, temu każę dać sto bambusów, tak ze jego pięty podobne będą raczej do pośladków osła, którego biją przez lat dwadzieścia…

- Stul pysk, dostojny Jusuffie! - rzekł mu uprzejmie inny, który zapragnął nagle snu.

Sindbad zaś mówił dalej:

- Wiecie, jako byłem w dolinie diamentów i jak mnie niósł ptak Roch, jak niezmiernych dokonałem rzeczy, słynnych na cały świat, jakie straszliwe odbyłem podróże, w

których zebrałem majątek. Lecz nie opowiedziałem wam wszystkiego, nie wiecie o mojej podróży najstraszliwszej, w której wiele wycierpiałem męczarni i z której największy przywiozłem skarb, jaki tylko może dać Allach człowiekowi - wierną żonę; posiadam ci ja bowiem żonę, która nie zdradziła mnie nigdy i nie zdradzi, co mogę zaświadczyć z czystym sumieniem i zaprzysiąc na brodę Proroka!

Tu umilkł, gdyż uśmiech błogosławiony okrasił mu surowe oblicze; Sindbad wpadł w zachwycenie i zadarłszy jak cap głowę w górę, patrzył w powałę, nie widział tedy, jak się przyjaciele poczęli trącać łokciami, uśmiechać się chytrze i szeptać: „Bluźni ten człowiek i na zbyt wielkie waży się kłamstwo!" Wnet jednakże zamilkli, albowiem nieustraszony żeglarz złazić zaczął powoli z Jakubowej drabiny zachwyceń, a ujrzawszy, że siedzi na podwiniętych nogach, jako inni, mówił dalej:

- Mniemając, żem wiele zdziałał, więcej zapewne niż niejeden, co się pyszni i honorów za to dla siebie żąda, postanowiłem odpocząć i używać bogactw rozumnie i godnie. Dusza moja jednakże, żądna przygód i niespokojna jak klacz natolska, którą giez z nagła w czułe uciął miejsce, tarzała się wraz ze mną po posłaniu i usnąć mi nie dając mówiła: - Czemu gnuśniejesz, Sindbadzie, czemu tyjesz w bezczynności, nieustraszony żeglarzu? Czyś już cały świat zjeździł, czyś już wszystko widział, co żyje na chwałę Allacha? Siedem razy widziałeś już śmierć, czemu nie masz jej ujrzeć po raz ósmy, przyzwyczajony już do jej widoku?

Tak do mnie mówiła mola dusza, a ja długo się wahałem, bałem się bowiem, że w chwili mego wyjazdu piękna Fatma, córka piekarza, za moją sprawą w szóstym będąca miesiącu, podniesie krzyk na cały Bagdad, co by mi nie było miłe. Dziewica zaś ta krzyczeć umie tak, że się płoszą dromadery. Wezwałem ją tedy do siebie i zaofiarowałem sto cekinów i siedem kóz, co przyjęła chętnie, ja zaś poznałem, że uczyniłem nierozsądnie, powiedziała mi bowiem na odchodnym, że ją mile zdziwił mój podarek, gdyż była pewna, jako nie ja, lecz pewien rudy pisarz wezyra jest ojcem jej dziecka albo też szewc Ibrahim, ma także niejakie podejrzenie wobec dwóch derwiszów tańczących. Nigdy zaś nie myślała o mnie.

Zły bardzo i pełen zawodu przygotować kazałem wszystko, co potrzebne jest w podróży, która może trwać rok albo i dziesięć. Naładowałem okręt wonnym drzewem, szafranem i suknem i kazałem odbić od brzegu, kierując się na zachód, co zresztą było obojętne, musiałem się bowiem gdzieś rozbić, aby mieć przygody, co zrozumie każdy, kto czytał bajki z Tysiąca i jednej nocy.

Tak tedy jedziemy już dwadzieścia dni i dwadzieścia nocy, bawiąc się śpiewem i nie bardzo fałszywą grą w kości, kiedy zacząłem rozpoznawać rozmaite wyspy, na których strasznych doznałem umartwień; na widok ten serce we mnie omdlało i już chciałem

zawrócić, gdy wtem zerwała się burza i niosła nas z tego miejsca przez dni pięćdziesiąt trzy i tyleż nocy, chcąc nas przerazić - my jednak trwaliśmy dzielnie, chorując tylko niepomiernie wskutek nawałnicy. Aż jednej nocy, kiedy nas uporczywy zmorzył sen, poczuliśmy z przerażeniem, że coś się dzieje z okrętem. „Zaczyna się!" - pomyślałem i wybiegłszy na pokład. w samej tylko koszuli, poczułem, że mi włosy powstają na głowie, gdyż okręt gnany niezmierną jakąś siłą, choć wiatr właśnie ustał, pędzi z szybkością spłoszonego muła na rosochate skały; odwróciłem się tedy szybko i zacząłem biec na pokładzie w kierunku przeciwnym do biegu okrętu, toteż w chwili, kiedy on z wielkim hukiem uderzył dziobem o skały i strzaskał się na miejscu, ja skoczyłem z jego tyłu w morze bez najmniejszej dla siebie szkody.

Przerwał w tym miejscu Sindbad i spojrzał po twarzach przyjaciół, którzy wszyscy spali, ale obudzili się natychmiast, kiedy nastała cisza, i zaczęli mówić szybko: „Tak, to dziwne!" - albo „Allach Jest wielki!" - albo „O, ileż wycierpiałeś!"

Żeglarz zaś znamienity pogładził brodę i rzekł:

- Początek to jest dopiero mojej nowej męczarni, najstraszliwszej ze wszystkich, jakie dotąd przeżyłem.

Nie zasypiali już tedy i słuchali pilnie, nie czyniąc sobie wyrzutów, że nie słyszeli wstępu, gdyż wszystkie wstępy do wszystkich podróży Sindbada były zawsze takie same.

Mówił żeglarz Sindbad:

- W oczach moich znikł okręt w głębinie i morze się nad nim zawarło, zamknąwszy w grobie moje drzewo sandałowe, mój szafran i pięćdziesięciu żeglarzy. Przeraziłem się bardzo, a strach mi dodał sil, więc zacząłem płynąć ku brzegowi; już chwyciłem ręką odłam skały, nagle krzyknąwszy, -padłem na wznak w morze, rękę zaś miałem srodze oparzoną, skała bowiem była tak gorąca jak rozpalone żelazo. Płynąc począłem gorzko płakać, jak to zresztą wiele czyniłem razy, poznałem bowiem, że los mnie chce znowu doświadczyć, jakby tego samego, ale z lepszym skutkiem, nie mógł czynić z kim innym.

Narzekałem na moje nieszczęście tak głośno, że się zebrała naokoło mnie gromada delfinów i płynąc tuż przy mnie, okazywała mi swoje współczucie; kiedy więc osłabłem, usiadłem na grzbiecie największego z nich, który mnie niósł chętnie i z widoczną radością, i choć mi to nie było przyjemne, gdyż musiałem się zanurzać co chwila, ile razy się to jemu podobało, jednak dziękowałem niebu za pomoc w niezmiernym moim nieszczęściu. Tak pływałem dwadzieścia siedem dni cierpiąc głód i pragnienie i wyschnięty byłem tak, że byłem niemal przejrzysty. Dwudziestego ósmego dnia dopiero wysiadłem na straszliwy

brzeg, który mnie dziwnym napełnił przeczuciem, że mnie tu czeka śmierć albo coś jeszcze gorszego.

Leżałem jak nieżywy i próbowałem jeść słony piasek nadmorski, gdy nagle ujrzałem z przerażeniem, że koło mnie po piasku skaczą ludzkie głowy, bard/o nadobne, i że mnie ciekawymi oglądają oczyma. Podniosłem się, straszliwym ogarnięty lękiem, i spostrzegłem stojących w oddali ludzi, z których żaden me miał głowy.

Dowiedziałem się później, że mieszkańcy tej ziemi mogą łatwo zdjąć sobie głowę z karku i wysłać ją na zwiady, jeśli sami nie chcą się narażać na niebezpieczeństwo.

Dziwiłem się bardzo i wyjść nie mogłem z zachwytu nad tym doskonałym urządzeniem, kiedy nagle wszystkie głowy pobiegły do swoich panów, a oni, uporządkowawszy na nich włosy, które się powalały w piasku, lub rękawem sukni otarłszy nagą czaszkę, jeśli który był łysy - nasadzili je sprawnie na karkach i wszyscy szli ku mnie.

Zadrżałem ze strachu, lecz pomyślawszy sobie, że większe już widziałem dziwy, czekałem, co mi mają powiedzieć; oni, podszedłszy blisko, dziwili się bardzo i ujrzawszy, że jadłem piasek, przywiedli prędko białą kozę i kazali mi ją ssać, co nie tylko przypomniała czasy niemowlęctwa, lecz i pokrzepiło znakomicie.

- Jesteśmy sługami króla Babu - rzekł mi potem jeden z nich - pójdź z nami!

Ponieważ jednak zapomniałem sztuki chodzenia, wzięli mnie na ramiona i ponieśli w triumfie dziwiąc się, że jestem taki lekki. Kiedy mnie postawiono na nogi, spostrzegłem, że jestem w ogromnym pałacu, jakiego nie widziałem dotychczas, choć widziałem wszystkie pałace kalifa. Był to pałac króla Babu, panującego nad olbrzymim narodem, mającym zdolność rzucania głową jak kamieniem; sam on siedział na tronie, na którym więcej było pereł niż wrzodów na ciele trędowatego, a był tak smutny, że choć jasno świeciło słońce, naokoło niego był mrok i jakby mgła; był to mąż piękny i bardzo postawny, lecz duszę miał zapewne obłąkaną od smutku, gdyż spojrzał na mnie strasznym wzrokiem i rzekł:

- Powiedz, w jaki sposób chcesz umrzeć?

Zdziwiło mnie to pytanie, gdyż byłem niewinny i niczym na śmierć nie zasłużyłem. Odpowiedziałem przeto:

- Chcę, najpotężniejszy królu, żyć dziesięć lat mniej od ciebie, tobie zaś życzę sześć tysięcy lat życia!

Wtedy on się zdumiał z kolei.

- Czy nie wiesz, cudzoziemcze - rzekł ze smutkiem - że już dawno umarłem?

- Nic o tym nie wiem, najjaśniejszy sułtanie! - brzmiała moja odpowiedz - lecz jeśli tak jest w istocie, każ się tedy owinąć w prześcieradło i zakopać w ziemi.

Król Babu zastanowił się nad moją odpowiedzią i myślał nad moimi słowami przez dziesięć dni i dziesięć nocy, po czym mnie kazał przywołać i rzekł:

- Powtórz mi jeszcze raz, coś powiedział, gdyż zapomniałem, jak brzmiały dokładnie twoje słowa!

Powtórzyłem je, a on, odszedłszy do swoich komnat, rozmyślał nad nimi przez dwadzieścia dni i dwadzieścia nocy, po czym wyszedłszy do mnie, rzekł łaskawie:

- Dobrze powiedziałeś!

Pytał mnie potem, skąd przybyłem i jakie losy zagnały mnie do tego kraju, więc mu opowiedziałem szeroko i wymownie, Jak niesłychane trapiły mnie cierpienia i jakbym bardzo pragnął wrócić do ojczyzny. Podobała mu się moja mowa, gdyż zawołał wielkiego wezyra i wszystkich ministrów, kazał im, aby mi dali wspaniałe szaty i aby mieli o mnie staranie. Ja zaś, wzruszony dowodem łask tak nadzwyczajnych, padłem mu do nóg wołając:

- O najpotężniejszy władco! Dziś jeszcze odpłynąłbym do mojej ojczyzny, lecz ci przysięgam, że wprzódy stąd nie wyruszę, dopóki się nie dowiem, jaka jest przyczyna twego smutku, i dopóki nie znajdę na smutek ten lekarstwa. Wolałbym, żeby mi pogniły dziąsła i wypłynęły oczy, niż patrzeć na twoje cierpienia; powiedz mi przeto, królu, co cię trapi?

Król Babu myślał długo nad tym, czy może nieznajomemu cudzoziemcowi wyjawić tajemnice swego serca, wreszcie jednak, mimo swojej dostojnej tępości umysłu, zrozumiał, że jeśli nie powie, na niczym się skończy cała historia, a ja nic będę miał przygody. Rzekł te.dy:

- Wiedz przeto, mądry cudzoziemcze, że miałem siedemset żon…

- Allach Rossoulach! - krzyknąłem zdumiony.

- …i wszystkie siedemset mnie zdradziły - dokończył król i zapłakał tak gorzko, że się we mnie krajało serce.

- …Jakże więc nic mam być smutny, kiedy nie mogę znaleźć kobiety, która by kochając mnie - wytrwała w tym aż do śmierci?

Cóż mi skarby i ziemie, wielbłądy i. słonie, osły i kóz niezliczone trzody, kiedy nie mam ani jednej kobiety? Już nie dla siebie jej żądam, bo smutek osłabił moje męskie siły, ale nie zaśmieję się wpierw, póki się nie dowiem, że w moim państwie jedna jest przynajmniej kobieta, która potrafi być wierna. Czemu nie płaczesz ze mną, Sindbadzie?

- Najjaśniejszy Panie! - odrzekłem być to nie może! I chociaż etykieta każe płakać w chwili, kiedy dostojne twoje oczy zalewają się łzami, nie czynię tęgo, albowiem zajęty jestem myśleniem. Posłuchaj mnie, mądry królu Babu! Oto ja chcę rozradować wzniosłe twoje serce i chcę w twoim państwie wynaleźć kobietę wierną.

Król Babu aż się zatoczył na tronie ze zdumienia, ja zaś mówiłem dalej:

- Wyszukam kobietę i ożenię się z nią, potem zaś uczynimy z nią próbę, a jeśli mnie zdradzi, czyń ze mną, panie, co ci się podoba; jeśli jednak wszystkie odtrąci pokusy i pozostanie mi wierna, oddasz mi ją na własność, a z nią i okręt, abym mógł powrócić do Ojczyzny. Pozwól mi jednak ożenić się trzy razy przynajmniej, bo jeśli ciebie siedemset zdradziło żon, cóż ja mam czynić mając tylko trzy!

- Dobrze! - rzekł król Babu - przysięgam ci. na moje nowe i stare berło, gdyż mam je dwa, ze - jeśli ci się uda - rozradujesz mnie, a ja cię uczynię bogatym i szczęśliwym; jeśli jednak zdradzą cię twoje trzy żony, wtedy z twojej skóry każę uczynić uprząż na wielbłąda, oczy każę i żucie wronom, a serce piec każę na wolnym ognia.

Uczyniło mi się zimno, chociaż upał był nieznośny, i wtedy dopiero spostrzegłem, na com się ważył; liczyłem tylko na szczęśliwy przypadek, wiedząc o tym, że Allach jeśli się nie ożenił, to tylko dlatego, żo zna kobiety.

Odszedłem tedy, drżąc na całym ciele, i zacząłem rozmyślać w samotności nad tym, co należy uczynić, aby zapewnić wierność kobiety: jeśli pojmę za małżonkę kobietę młodą, zdradzi mnie dlatego, że jest młoda; jeśli starą i wypłowiałą pojmę wiedźmę, zdradzi mnie tym łacniej, bo zechce udawać młodą, szejtan zaś w starym pali piecu.

Rozpacz mnie zdjęła i byłbym uciekł ze straszliwego tego kraju, gdyby nie to, że mnie Prorok w ostatniej chwili natchnął otuchą. Wybrałem się tedy na poszukiwanie żony, wziąwszy ze sobą wspaniały orszak, sto wielbłądów. w pyszne przybranych rzędy, tysiąc niewolników, pięćdziesiąt skrzyń samych szat; kazałem sobie utrefić włosy i co dnia starannie oczyszczać je z robactwa, i tak wędrowałem po kraju, szukając pilnie. Widząc wspaniałego cudzoziemca wszyscy padali mi do nóg, kobiety zaś, nawet zamężne, przysyłały do mnie swoich niewolników prosząc, abym spoczął pod ich dachem, co mnie wielkim napełniało zmartwieniom.

Jednego dnia ujrzałem cudne zjawisko: oto na białym ośle jechała drobna postać, owita w złotem tkany płaszcz. Widziałem, że oczy, wyglądające spod czarczafu, patrzyły skromnie i dziwnej były piękności; coś mnie tknęło, abym podążył jej śladem Dowiedziałem się, że jest to córka bogatego księcia, który poznawszy, że jestem ulubieńcom króla Babu, zgodził się dać mi ją za żonę.

Przywiozłem ją do królewskiego pałacu i wyznałem jej ogromną miłość, ona zaś, ku niezmiernej mej radości, przysięgła mi, że nie widziała piękniejszego mężczyzny ode mnie i że mnie kochać będzie wiecznie. Otoczyłem ją zbytkiem i od wschodu do zachodu słońca, leżąc u nóg jej, płakałem ze szczęścia i mówiłem jej najpiękniejsze słowa, ona zaś słuchała wdzięcznym sercem i przysięgała mi miłość.

Miała piętnaście lat, więc przekonany byłem, że nie może być zdrady w tak młodzieńczej duszy; ponieważ nie opuszczałem jej ani na chwilę, więc teraz dopiero, pewny nadzwyczajnej jej stałości, postanowiłem pójść do króla i prosić go, aby uczynił próbę.

Król ujrzawszy mnie, ucieszył się bardzo, gdyż na twarzy miałem wyraz zwycięski.

Zawołał tedy wszystkich ministrów i wielkiego wezyra i szliśmy wszyscy, głośno się radując, do jej komnat; nie było jej nigdzie, co mnie przejęło wielkim niepokojem, zapytałem tedy starej niewolnicy, gdzie by zaś mogła być jej pani a moja małżonka. Ta mi odrzekła:

- Nie ma dwóch godzin, jak twoja małżonka uciekła z poganiaczem wielbłądów, tym, co to ma kaprawe oczy, a jest tak silny, że wstrzymuje konie w biegu!

Usłyszawszy to omdlałem, a król i ministrowie poczęli płakać gorzko, gdyż ich wzruszyła bardzo ta historia i napełniła smutkiem. Król Babu był tak smutny, że chwyciwszy w rozpaczy za brody dwóch ministrów, wyrwał im je zupełnie, potem zaś poszli naradzać się i dochodzić rozumem przyczyny tej strasznej zdrady, lecz nie umieli dojść niczego, ja zaś, rzuciwszy się na łoże, płakałem przez pół roku albo też myślałem o sprawach głębokich, które mi moje ukazało nieszczęście.

Kiedy stanąłem znów przed królem, ten krzyknął z radości, lecz wnet wpadł w smutek pomyślawszy, że się zbliża czas drugiego nieszczęścia. Przyszło też ono wkrótce, gdy pojąłem drugą żonę; była to kobieta stateczna i tłusta, umyślnie bowiem wynalazłem taką mniemając, że nie będzie płochą wietrznicą i nie będzie tak skora do zdrady, wiedziałem zaś, że wszystkie największe nieszczęścia sprowadzają kobiety chude i na cienkich nogach.

Druga moja żona nie miała też żadnego na ciele znamienia ani brodawki, co też jest wielką zaletą, gdyż niewiasta nie mogąc pochwalić się czym innym, pragnie to sprawić choćby takim wdziękiem.

O przyjaciele! po co mam mówić dłużej?

Ujrzeliśmy jednego dnia wraz z królem Babu, jak żona maja tuliła do wyniosłych piersi chłopaka, który był bardzo nieśmiały, a zazwyczaj golił- brodę królowi. Kazałem zabić oboje, sam zaś poszedłem szukać wysokiej palmy, aby się obwiesić.

Nic mi innego nad śmierć nie pozostało, wolałem zaś wybrać śmierć lżejszą od tej, która mnie czekała z rozkazu króla Babu. O Akbar Allach! Widziałem wierne psy, widziałem konie, które ginęły z żalu po panu, widziałem lwa, co łagodny jak dziecko za swoim chodził władcą, a nie widziałem kobiety wiernej! Łzy mi napłynęły do oczu, kiedym przywiódł na pamięć dwie moje żony - niech je szejtan ma w opiece! Oby ich dusze po śmierci nie zaznały spokoju, a ciało żeby stoczyło robactwo! - Zdawało mi się bowiem, że się cały świat ze mnie śmieje, a ja idę z jedwabnym sznurem w ręku i z głową w górę zadartą, szukając mocnej

gałęzi. Siadłem pod palmą i zacząłem płakać, bo nigdy jeszcze w większym nie byłem nieszczęściu, w każdym miałem bowiem nadzieję, teraz zaś nie miałem żadnej; położyłem się na wznak, aby - zanim umrę - pomyśleć o moim nieszczęściu i rozważyć po raz ostatni (choć się to na nic przydać nie miało), czego trzeba kobiecie, aby była wierna.

Noc zapadła, a ja myślałem; noc niknęła, a ja myślałem i przechodziłem myślą wszystko, co się tyczyło mojej sprawy. Wreszcie, o przyjaciele, doznałem cudu: poznałem prawdę i zrozumiałem, że kobieta może mi dochować wierności. Prorok mi ukazał, jaką musi być ona, aby zostać wierną. Upadłem więc na twarz i dziękowałem mu, a łzy mi z oczu toczyły się tak wielkie, jak ten diament, który sprzedałem do Damaszku za tysiąc dukatów, sto koni, trzysta wielbłądów i sto niewolnic. Jedwabny sznur, co mnie miał o śmierć przyprawić, podarowałem spotkanemu człowiekowi, który idąc powoli spoglądał na palmy, jak ja wczoraj - potem, stanąwszy przed królem Babu, rzekłem śmiało:

- Dostojny panie, dzisiaj się ożenię po raz trzeci.

Zdumiał się król Babu, gdyż właśnie nie miał nic innego do roboty, i rzekł mi łaskawie:

- Każę ci wyjąć po śmierci jedno tylko oko, bo jesteś człowiekiem nieszczęśliwym Bóg jest jeden!

Ja zaś poszedłem w głąb kraju i po wielu tygodniach przyniosłem w lektyce trzecią żonę, ponieważ zaś była zmęczona, ułożyłem ją na sofie i biłem przed nią pokłony; ustroiłem ją w najprzedniejsze jedwabie, kazałem palić przy niej różnorodne kadzidła i pytałem ją czule, czy bardzo mnie kocha, ona zaś nie odpowiadała nic, tylko patrzyła bardzo wymownie.

Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy stanąłem przed królem Babu, który właśnie wylewał łzy do malachitowej wazy, co czynił codziennie przez dwie godziny przed zachodem słońca, gdyż kiedy indziej czas miał bardzo zajęty zajmował się sprawami państwa. Czekałem bardzo cierpliwie, kiedy król Babu przestanie płakać, potem upadłszy na kolana zawołałem:

- Oby ci Allach dał tyle ziem, ile ich widzi słońce, i tyle ludów, ile ty widzisz gwiazd. Oby ci dał wieczną szczęśliwość i radość duszy, siłę lwa i rozum lisa, o Babu! O królu nieśmiertelny!

Powiedziawszy to poczułem bić pokłony i uderzyłem czołem wedle zwyczaju siedemdziesiąt siedem razy, a król Babu patrzył łaskawie i dziwił się niepomiernie mniemając, że przychodzę prosić o darowanie życia. Przeto zapytał:

- Czy cię, nieszczęśliwy Sindbadzie, zdradziła już trzecia twoja żona?

Odpowiedziałem mu:

- Rozraduj serce, sułtanie, albowiem znalazłem na twojej ziemi niewiastę, która na świat cały zasłynie, jest ci ona żoną wierna, jakiej drugiej nie znajdziesz pod słońcem.

- Jak mnie o tym przekonasz, Sindbadzie, abym się rozweselił i przestał płakać i wieczyście się smucić?

- Rozkazuj, panie! - rzekłem.

Król Babu rozkazał, abyśmy się ukryli za zasłoną, a on poleci wszystkim możnym swego kraju i wszystkim najpiękniejszym młodzieńcom jawić się przed nią po kolei i kusić ją.

Okazałem niepokój, lecz zgodziłem się chętnie i podszedłszy do żony mojej, spokojnie leżącej na jedwabnej sofie, rzekłem tak głośno, aby mnie wszyscy słyszeli:

- Zegnam cię, ukochana moja żono, różo z ogrodu Allacha, gwiazdo prowadząca żeglarzy, albowiem wyjeżdżam z królem Babu na łowy i przez trzy dni będziesz samotna.

Potem pochyliwszy się ucałowałem ją tkliwie, zabrałem sajdak i odszedłem krokiem spokojnym. Skryłem się wraz z królem za kotarą i patrzyliśmy, co się dziać będzie. A wtedy przez trzy dni i trzy noce przechodzili i stawali przed nią wszyscy, którym tak król rożkami.

Przybył pierwszy brat królewski, pań możny, chociaż patrzył zezem, i mówił, niby ją kusząc:

- Przyniosłem ci sznury pereł i pełne dłonie rubinów - pójdź za mną!

A ona nie odrzekłszy na to jednego słowa, leżała milcząca i spokojna.

Potem przyszli ministrowie, gładko i chytrze mówiący, a każdy jej obiecywał rzeczy tak wspaniałe, że mnie niepokój chwytać począł za serce, lecz ona pozostała zimna, aż się zdumiał król Babu.

Przyszedł potem najsilniejszy mąż w tym królestwie i krótką do niej niewprawnymi słowy wypowiedziawszy przemowę, wyprężył muskuły i ukazał jej oczom uda podobne dębom, ramiona podobne sękatym maczugom, którymi można zabić wielu. O przyjaciele! tego człowieka lękałem się najbardziej, a przecież odszedł okryty wstydem i hańbą, bo ona, najwierniejsza małżonka moja, nic raczyła nawet spojrzeć na jego wspaniałe cielsko.

- Czuję, że się uśmiechnę! - szepnął mi król Babu i patrzył z ogromnym podziwem, gdyż się właśnie wcisnął chyłkiem do jej komnaty, wonnej, rozświetlonej lampą, człowiek ze zwojem pergaminów w ręku i uklęknąwszy na prawe kolano, czytać począł długie wiersze, tak cudnej piękności, że mi łzy nabiegły do oczu, a ona nie westchnęła nawet, podziwem przejmując wszystkich.

Dwustu już ze wstydem odeszło rycerzy i stu poetów, odeszli z hańbą książęta i ministrowie, derwisze i inna hołota, bowiem król rozkazał, aby każdy ją usidlić próbował - kiedy wreszcie rzekł król Babu:

- Dziwne to jest i dotychczas nie widziano na ziemi, lecz wtedy dopiero powiem, żeś zwyciężył, Sindbadzie, jeśli się mnie oprze!

Usłyszawszy to, padłem mu do nóg i błagałem, aby tego nie czynił, gdyż nie ma na świecie kobiety, która by się oparła jemu, władcy połowy świata i trzech piątych części księżyca, gdyż reszta należy do kalifa Bagdadu - on jednak odrzekł, że inaczej być nie może, i wszedłszy do jej komnaty, stanął w świetlistym kręgu lampy i wyrzekł potężnie:

- Jam jest straszliwy i mądry król Babu, przed którym drży piorun, a burza się czołga jak pies. Słuchaj, małżonko Sindbada: jeśli mnie do swego przypuścisz loża, uczynię cię moją żoną, dam ci tyle bogactw, ile ich zapragniesz, i powiesić każę Sindbada, aby ci uczynić przyjemność. Odpowiedz, a będziesz szczęśliwa!

Czekał na odpowiedz król Babu, a mnie się zdawało, że ona się poruszyła; było to jednakże tylko przywidzenie, albowiem po chwili wrócił król Babu, chwycił mnie w objęcia i całował, płacząc z radości; serce jego napełniło się dumą i szczęściem, albowiem słońce znów zaświeciło przed jego oczyma za moją sprawą.

Zapytał mnie, czego pragnę, a ja odrzekłem, zapragnę wrócić do ojczyzny z wierną mo;)ą żoną.

Wtedy on zawezwał wszystkich swoich ministrów i rzekł: - Oto jest mój przyjaciel!

I kazał mnie uczcić, jak jeszcze nigdy nikogo nie uczczono w tym kraju, podarował mi okręt i niewolników, wiele złotych łańcuchów i srebrnych dzbanów, strojnych szat, usianych diamentami, bron najprzedniejszą, i pozwolił mi odpłynąć do obczyzny. Na brzegu stał cały jego lud i wydawał okrzyki, a kiedy ów niezmierny skarb, wierną moją żonę - niesiono w lektyce, zapał ogarnął tłumy, a król Babu radował się jak nigdy.

Powróciłem do Bagdadu, gdyż jeszcze raz ocalił mnie Prorok i pozwolił zdobyć niezmierne bogactwa, tysiąckroć razy więcej warte niż moje drzewo i szafran, który pochłonęło morze!

Odetchnął i spojrzał na przyjaciół, z których każdy bardzo się dziwił i zdawało się, że żaden z nich wierzyć nie chce opowieści tak dziwnej, jakiej nie słyszano od początku świata, lecz żeglarz Sindbad widząc, że trudno im jest uwierzyć - rzekł:

- Aby zaś dać świadectwo prawdzie, ukażę wam moją małżonkę, najwierniejszą, jaka była kiedykolwiek, i wierną mi do dnia dzisiejszego.

Klasnął w dłonie, a czterech niewolników wniosło kobietę na krześle obitym purpurą.

- Oto jest ona, przyjaciele! - rzekł Sindbad.

Oni pochylili nisko głowy witając ją ukłonem, zasię poczęli patrzeć spod oka ciekawie, widząc z trudem, gdyż zmrok był w komnacie i swąd od oliwnej lampy.

Wtem niepokój się odbił na jednej twarzy.

- Allach Rossoulach! - poczęli powtarzać w zdumieniu.

Potem krzyknęli:

- Sindbadzie! ta kobieta jest martwa!

A mądry żeglarz Sindbad uśmiechnął się chytrze, spokojnie gładząc brodę - i rzekł:

- Głupcy! Jakże inaczej mogłaby być wierną tak długo!

Oni myśleli usilnie, wreszcie każdy przyznał w duchu, że słowa jego są nabrzmiałe od wielkiej mądrości jak pękate wory, które zboże rozsadza.

Rzekł wreszcie jeden:

- Nabalsamowałeś ją, Sindbadzie, i wiesz, ze cię nie zdradzi, więc czemu zakryłeś jej twarz zasłoną?

- Albowiem nie można być pewnym kobiety, nawet po śmierci! - odrzekł on i zasmucił się, gdyż wiele przeszedł i wiele wycierpiał mądry żeglarz Sindbad.

O SZLACHETNEJ DZIEWICY I KONIU.

Rzeczą jest godną podziwu największego nawet mędrca, co siedząc na dywanie i drapiąc świerzb na wzniosłej piersi, wiele przemyślał, albo też chytrego golarza, który wiele słyszał opowieści z ust tych, co z daleka i z różnych przybyli stron - jak bardzo księżyc podobny jest do szakala, gwiazdy do jaszczurek złotem się mieniących, chmury od dromedarów, zaś słońce do człowieka. Pojmie to nawet człowiek z przyrodzenia głupi jak struś i taki, którego w młodości mocno bito bambusem w ciemię, a nawet człowiek podłego rzemiosła, szewc albo też taki, co układa wiersze; zdarzyło się też, że i niewiasta, głęboko i przez czas niejaki się zastanowiwszy, nie odlatując myślą na boki (zgoła jak mieszaniec osła i muła, co bez głębszej po temu przyczyny, ogon zadarłszy i mocno rycząc, nagle od stada odbiegnie) pojmie, że wiele rzeczy na niebie podobnych jest do rzeczy ziemskich, parszywych i marnych.

Tak też myślał sobie głęboko Ibrahim, syn Jusuffa i jeszcze jednego piekarza, obu ich bowiem miłowała szlachetna jego matka, słusznie mniemając, że dwóch snadniej i roztropniej wykończyć zdoła dzieło, niżby tego mógł dokonać jeden. Może dlatego też ów Ibrahim tak zaprawny był w myśleniu głębokim i niepospolitym, a cześć ludzka szła za nim jak szakal za wielbłądem. Znało go wprawdzie ludzi niewielu, trzech najwyżej, licząc w to i kadiego z Damaszku, który go sądził raz za kradzież rzepy i obcięcie ogona szlachetnej klaczy; lepiej jest jednak człowiekowi, jeśli imię jego jest w czci u małej liczby, niżby miało być w pogardzie u tysiąca, jak imię owego mędrca z Bagdadu, co mogąc zażywać wielkiej czci i, z powodu swojego nadmiernego rozumu, podał się w ludzką pogardę, ożenił się bowiem po raz dwudziesty siódmy, kiedy mu szczęśliwie uciekła dwudziesta szósta żona, córka szewca i szejtana zarazem, jędza i piekielnica. Dzieje się tak nieraz bowiem za niepojętą sprawą Proroka, że bardziej mędrzec jest podobny do kulawego osła, niźli osioł do mędrca.

W wielkiej tedy czci u ludzi będący Ibrahim, sam był na oazie El Haazar, plemię bowiem na niej mieszkające wybrało się właśnie na kradzież koni, co z wielką czyniło fantazją i należytą wprawą, nie masz bowiem nic gorszego nad to, jeśli kto rzecz swoją czyni niedokładnie i leniwie; dlatego też człowiek mądry słusznie się odwraca tyłem do złodzieja, który się pozwolił schwytać, choć i to być może, że złodziej złodziejowi nie chce spojrzeć w oczy.

Można by też z tego mniemania wiedzieć, dlaczego połowa ludzi na świecie patrzy w ziemię.

Ibrahim, syn Jusuffa (i jeszcze jednego piekarza), patrzył właśnie na niebo odpoczywając, wielce bowiem był zmęczony. Sprawował on urząd wielce ważny i pilny, rzeczą bowiem jego było wydobywanie wody z żołądka ziemi, czynił to zaś obracając przez dzień cały kołowrót, ów zaś ciągnął z czeluści studni pełne wiadra. Chociaż do owego rzemiosła nie trzeba było wielkiej nauki i przemyślności, jednakże mógł je sprawiać tylko mąż stateczny, którego myśli nie Są rozpierzchłe i który zdoła chodzić w kółko od wschodu do zachodu słońca. Zdawało mu się nieraz, kiedy mu się mózg zakręcił tak, że się z niego uczynił gorący pilaw, że on sam jest studnią i z siebie smakowitą czerpie wodę, mimo tego jednakże szanował ten człowiek swoją pracę, słusznie mniemając, że i mędrzec, chociażby największy, nic innego nie czyni, jak kręcąc się w kółko wydobywa wodo, którą potem piją i ludzie, i parszywe, kwiczące muły. Za pracę swoją miał niewiele, bo poza tym, że otrzymywał dwie garście daktylów, wolno mu było pić tyle wody, ile zechce, słuszną bowiem jest rzeczą i sprawiedliwą, aby człowiek mógł do syta spożywać owoce swojego trudu.

Największą jednak nagrodą była pogoda duszy, skarb wielki i bezcenny, albowiem Ibrahim miał w piersi niebo, w głowie zaś wciąż miał wodę, o niej bowiem myślał przez dzień cały. Dlatego też myśli jego były czyste i wzniosłe; widział tez wiele rzeczy, dla innych niepojętych, jako i tę, na którą patrzył w tej chwili, ległszy na wznak na szlachetnych swych plecach, z rzadka okrytych wrzodami. Patrząc na słońce ujrzał, iż to jest rycerz na ognistym, wielkiej ceny i wielkiej krwi koniu siedzący, który pędzi po pustyni nieba. Czasem przystanie, a wtedy koń pije wodę z czarnej chmury, która jest pełna jak bukłak z koźlej skóry, potem zasię krzyknąwszy głośno, rycerz ów znowu goni aż do Medyny zachodu, gdzie na niego czeka Prorok na' purpurowym z miękkich chmur dywanie siedzący i pali fajkę tak wielką jak palma, zaś dym z niej pada na ziemię jak srebrna mgła. Tam ów rycerz słoneczny pada w proch przed Prorokiem, on zaś,- rad wielce, pozwala mu całować swoją nogę i mówi: „Spocznij przez noc w haremie, jutro bowiem popędzisz na wschód, dokąd moje zanieść masz błogosławieństwo".

Tak sobie myślał Ibrahim, we czci ludzkie, lezący na szlachetnych plecach, kiedy nagle nasłuchiwać począł pilnie, bowiem wprawnym, chociaż brudnym uchem złowił tętent bachmata. Bystrze pojął w tej chwili, że jeśli słychać odgłos kopyt, tedy ktoś nadjeżdża, bardzo bowiem sprytny był w rozumie; porwawszy się tedy, jął kręcić kołowrót, który skrzypiał dziwnym głosem, tak iż mogłeś rozumieć, że to szakal chrapliwie zaszczekał albo też swarliwa poczyna mówić niewiasta.

Tuż przed nim wrył ktoś w miejscu rumaka, aż grudy ziemi bryznęły. Rumak był piękny jak hurysa, czarny jak noc, zaś oczy miał jak dwie migotliwe gwiazdy. Rozdął chrapy,

zwietrzywszy człowieka, i przysiadł nieco na zadzie, zgoła jak księżniczka, co chcąc się wydać piękniejszą, słodko się przegina w tył, ukazując w ten sposób obfitość piersi, bogatych i urodzajnych jak sułtańskie ogrody, pełnych jak skórzane wory wina; biegiem rozogniony, drżał ów pyszny rumak jak odaliska, którą wiodą do łożnicy kalifa, ona zaś się trwoży, czy też ciało ma dość pachnące. Potem zasię koń, wodę poczuwszy, strzyc począł uszyma jak derwisz, kiedy poczuje przez mur zapach gotowanej kury i niebo się przed nim nagle otworzy.

Z podziwem patrzył na owo zwierzę szlachetne mądry Ibrahim i rozmyślał w duszy, ze wiele jest na świecie rzeczy piękniejszych od człowieka, tym zaś snadniej w to uwierzył, przyjrzawszy się twarzy jeźdźca, który krzywdę czynił szlachetnemu rumakowi, z taką, na nim jeżdżąc twarzą. Była ci ona bowiem do nadgniłego podobna melona, z którego patrzyły oczy zakisłe, jak stęchły pilaw, szalbiercze i chytre; rzadka broda stroiła tę gębę obleśną, podobną do ogona starego szakala, który oblazł cały i sparszywiał, zaś sierści na nim nie zostało tyle, iżby wiele się w jej gęstwinie mogło ukryć pcheł.

Jeździec ów, Ibrahimowi się przyjrzawszy, skinął na niego, aby się przybliżył, po czym z bliska go swoim lepkim umazawszy wzrokiem, zapytał:

- Czy woda twoja jest dobra do picia?

Ibrahim rzekł roztropnie:

- Czy koń twój jest mądry?

- Koń mój jest mądry jak wielki wezyr, a przemyślny jak derwisz.

- Tedy czemu pytasz, czy woda jest dobra, widząc, jak koń twój na jej widok strzyże z radości uszyma?

- Allach! - rzekł jeździec - mówisz jak człowiek rozsądny. Czy mądrość swoją czerpiesz ze studni? Daj mi pić…

Ibrahim zastanowił się i myślał chwilę; potem zaś, dziwnie na niego spojrzawszy, powiada:

- Czy koń twój niósł ciebie, czy ty niosłeś konia? Dlatego najpierw dam pić jemu.

- Koń jednakże nie rozbije ci głowy ani cię nie nazwie synem wieprza, ja zaś snadnie uczynić mogę jedno i drugie.

- Słusznie mówisz - odrzekł słodko Ibrahim - dlatego też właśnie napoję najpierw twego konia.

To rzekłszy wziął bukłak, zaczerpnął wody i uśmiechając się zachęcająco, jak czyni mąż w dniu wesela, poił rumaka, który pił chciwie i z lubością, mrużąc oczy i strzygąc

uszyma, za czym parsknął i otrząsnął się, zgoła jak człowiek, który wyszedł z kąpieli i orzeźwion wielce, patrzy na świat pogodniej.

Temu wszystkiemu przypatrywał się Ibrahim, cmokając radośnie ustami, podobnie jak czyni stary, owrzodziały basza, przechadzając się powoli wzdłuż szeregu dziewic, mniej i więcej popsowanych, wystawionych na sprzedaż; czasem zaś, dla tym większego ukontentowania, udając, że chce kupić cudną Greczynkę, co ledwo z dziecięctwa wyrosła, niczym zaś zażywniejszym nie mogąc wzbudzić rozkoszy w sercu swym, wyschniętym i jałowym, podobnym pustej sakwie, w której kiedyś było wiele - z lekka ją poklepie po łopatce albo też pod brodę ująwszy, drugą ręką gładzi po twarzy. Tak też Ibrahim z lubością wielką dotykał czarnej, lśniącej, miękkiej sierści konia i troskliwie ogarniała muchy z jego szyi, podobnej szyi sułtańskiej córki, którą ojciec kazał udusić rzezańcom, bowiem miała potomstwo z tańczącym derwiszem, a przecież żadna jej się nie stała krzywda, bo jako mówi słynny jeden poeta (który potem z nadmiernego podziwu zwariował) - szyja jej była tak piękna, że który rzezaniec dotknął jej rękoma, uczuwał nagle, za niepojętą sprawą Proroka, takie w sobie namiętności i moce, taką zaś w sercu tkliwość i jęk miłości, że się każdy obwiesił raczej, niżby owej sułtance miał uczynić krzywdę. Tak ich wyginęło trzystu dziewięćdziesięciu dziewięciu, zaś ostatniego sułtan, w rozpaczy już wielkiej będący, zachował, aby ród owych ludzi pożytecznych do cna nie wyginął.

- Jak się zowie twój koń? - spytał wreszcie Ibrahim.

- Zowie się Syn Strusia, przez co się wykłada, że wiatr przegoni w pustyni. Koń ten biegnie prędzej od śmierci, która mnie goniła niedawno, siedząc na samumie, a nie dognawszy gryzie w pustyni piasek z rozpaczy i targa brodę z gniewu. Ty mi jednak powiedz, co ci się należy za wodę, nie jestem bowiem dostojnik żaden, który nie płaci i wybija zęby!

Ibrahim ważył długo w myśli tę sprawę. potem rzecze:

- Jeśli łaska twoja jest mała jak pestka daktyla, tedy mi daj miedziany pieniądz, a bądź pewny, że cię nie będę klął i nie będę ci życzył, abyś złamał obie nogi lub się udławił baranią kością. Jeśli łaska twoja jest wielka jak meczet, tedy mi pozwól, abym za wodę przejechał się na twoim koniu od tej palmy aż do tamtej opodal, która uschła, gdyż się na niej powiesił niedawno jeden mędrzec. Czemu się śmiejesz?

- Zdawało mi się bowiem, żeś jest rozsądny, ty zaś głupi jesteś jak strusie jajo. Chcesz, bym ci konia pozwolił? Ohe, ohe! Czy nie wiesz, że koń, krew w sobie mający szlachetną, jest siedmkroć razy uczciwszy od kobiety, która wspaniałego serca w sobie nie mając i nie bacząc na swego pana, wszelkiej zdrady się dopuści? Choćbym ci na jego grzbiecie siąść pozwolił, lepiej by ci było siąść na żelaznym garnku, w którym się żarzą węgle, dłużej byś

bowiem na nim siedział. Ja ci jednak i tak nie pozwolę, abyś mi na nim nie uciekł, sam bowiem tego konia ukradłszy, wiem, jak łatwo się to czyni. Wtedy można go było dosiąść, dziś jednak koń ten, zrozumiawszy, kto jest jego prawowitym panem, wszystkie by ci połamał żebra, jeśliby ci ich nie połamał kawas w więzieniu.

To mówiąc zeskoczył z kulbaki i zawiódłszy konia ku polanie, uwiązał go przy niej, potem usiadłszy wygodnie, złośliwie patrzył na Ibrahima. Ten opuścił głowę na pierś, która, niezbyt wielki mając do dźwigania ciężar, oddychała szybko. Usiadł też na twardym podłożu nóg i milczał długo mniemając, że już nic nie ma do powiedzenia.

Tamten jednak zjadłszy niewiele daktyli, które żuł długo, potem zasię wypluwszy na dłoń, suszył je w słonecznej spiece i znowu żuć poczynał, długo nad czymś rozmyślał kiwając się roztropnie, jak czyni słoń, wielki mędrzec, przymykał skisłe oczy, potem je znowu szeroko otwierał, jak to czyni zdychający ze starości wielbłąd, potem zaś, nakarmiwszy żołądek i dawszy posiłek sercu, dziwną rozpoczął rozmowę z Ibrahimem.

- Jak się zowiesz? - zapytał go najpierw.

- Ibrahim, syn Jusuffa.

- Imię twoje jest piękne… Pozdrowienie tobie, Ibrahimie.

Ów się zdumiał.

- Czemu mnie pozdrawiasz teraz dopiero?

- Albowiem widzę, że nie jesteś chciwy na pieniądze i nie chciałeś ich za wodę. I roztropny jesteś, Ibrahimie, synu Jusuffa, który oby żył sto lat.

- Umarł już, czemu mu nie dajesz spokoju?

- Tedy gdyby żył, oby. żył trzy razy po sto lat. Widzisz sam, jak bardzo przypadłeś mi do serca; gdybym miał syna, chciałbym, aby do ciebie był podobny.

- Nie mów tego, musiałbym ci bowiem odrzec, że chciałbym, abyś był podobny do mego ojca, który leży w grobie.

- Bismillach! Twój ojciec jest w raju.

- Rzekłeś! Ojciec mój nie ukradł konia…

Tak to oni sobie mówili, jasnym było bowiem, że ów jeździec czeka na coś i tymczasem w wielkim wprawia się myśleniu i jakoby zaprawia język jak rycerz, co zanim na bitwę wyjedzie, długo krzywą szablą macha, głośno pokrzykując dla nadania męstwa swojemu sercu, które nie zna trwogi; roztropnym jednak będąc, wie, iż wszelka wrzawa wiele mu pomoże. Długa też minęła chwila, zanim ów rzekł:

- Ibrahimie, synu Jusuffa, żali tędy nie przejeżdżał na wielbłądzic Abdul Azis, przyjaciel mój i krewny, wielki jednakże złodziej i wuj szakala?

- Nie był tu nikt taki… Czemu pytasz?

- Albowiem jeśli nie był, tedy przyjedzie, ja zaś mam z nim sprawę i obawiam się, aby mnie nie napadł i nie obdarł, na wszystko się bowiem waży ten człowiek. Proszę cię tedy, Ibrahimie, abyś dawał baczenie i obronił mnie w razie potrzeby.

- Jaką z nim masz sprawę?

- Oto ten człowiek chce kupić ode mnie tego konia.

- Jak rzekłeś?

- Konia chce kupić ode mnie.

- Tego konia kupi kalif, kiedy się o nim dowie.

- Kalif mi nie zapłaci tego, co mi za niego chce dać Abdul Azis.

- Allach! Rozum ci się pomieszał…

- Czemu mnie krzywdzisz? Popatrz na mnie i wiedz, żebym ci mógł jednym uderzeniem pięści wybić oko i wytłuc trzy razy po dziesięć zębów, ale jestem łaskawy, albowiem widzę, że konia mego miłujesz.

- Więcej niż ciebie…

- Prorok ci za to ciężką i śmiertelną zapłaci chorobą, albo trądem, albo gniciem wątroby.

Teraz zaś słuchaj, albowiem zdaje mi się, że na krańcu pustyni widać dwa wielbłądy. To jedzie on, który oby nie dojechał. Wiesz, co mi chce dać za mego konia?

- Uszy moje szerokie są jak bramy Bagdadu…

- Chce mi dać swoją córkę. Oh!

Rzekłszy to przymknął skisło oczy i uśmiechnął się obleśnie, szeroko otworzywszy plugawy pysk, z którego wiele pociekło mu śliny na rzadką brodę, na znak, że dusza jego w wielkim jest zachwycie i widzi niebo.

Ibrahim zadumał się smutno i zdaje się głębokie w sobie ważył myśli, gdyż miał w oczach wielką troskę, która usiadła mu na twarzy pomiędzy oczyma jak zły, dziki ptak, co usiadł na drzewie i szponem drze korę. To jedno jednak było widać jasno, iż wielką dla swojego towarzysza czuje wzgardę i w dobrej swej duszy z końskim go porównywa nawozem.

Ów się w tej chwili obudził z zachwycenia i spostrzegłszy, że tamci są już niedaleko, zawołał cicho konia po imieniu, potem zaś podniósł się, uszedł kilka kroków i czekał, aż uczuł blisko szybki i świszczący oddech zdyszanych wielbłądów, podobny do owych westchnień, które wydaje z piersi stara i opasła niewiasta, nagłą żądzą jak płomień objęta. Wtedy chwycił wielbłądy za uździenice, mocno śmierdzące, przepojone bowiem były starym,

stęchłym tłuszczem dla tym większej giętkości, i silnym ramieniem zmusił wielbłądy, aby sprawnie uklękły, co uczyniły, patrząc roztropnie i smutno, dwie bowiem są smutne rzeczy na świecie: dwoje oczu wielbłąda.

Uskoczył na ziemię Abdul Azis, drab rosły jak palma i bezczelny na pysku, czarnym jak u szejtana; oczy miał zezem patrzące i bardzo niespokojne, tak iż zdawało się, że wszystko widzi od razu i wszystko naokół rad by ukraść; zasię za nim szła, słaniając się po szybkim wielbłądzim biegu, niewiasta, z twarzą zakrytą czarczafem; zgrabnej była postaci i wiotka, co łacno poznasz, jeśli mądrym okiem przejrzeć zdołasz z grubego sukna uczynione szaty, chociaż powiada inny mędrzec, że łacniej dowiesz się, co jest we wnętrzu ziemi, niźli odkryjesz wady konia i niewiasty. Tego nie wie i Prorok.

Kobieta stała w milczeniu, oni zasię witali się pięknie, używając słów smakowitych i nadobnych, jak przystoi mężom, o których jeden Allach tylko wie, że jeden i drugi jest to złodziej wielki i wcale niemały.

Mówił oto Abdul Azis:

- Od trzydziestu dni myślę o tym, abyś był szczęśliwy i aby żołądek twój nie chorzał nigdy, Mohammedzie, bracie mój, światłości moich dni. Obyś nigdy nie widział szakala smutku i węża zgryzoty, a szabla twoja oby wielkie spełniała czyny. Jedno mnie tylko dziwi, że nie jesteś kalifem, tyś nim bowiem być powinien!

To rzekłszy spojrzał na przyjaciela swego tak, jak się patrzy na zgniłe jajo albo na glistę, albo też na padlinę. Ów zasię, Mohammedem nazwany, napluł na tamtego w głębi przepaścistej myśli, kopnął go tajemnie w sam środek brzucha, a pomyślawszy, że szakal by nie tknął nawet tego zbója, tak strasznie go czuć złodziejem, szedł powoli i z powagą po rajskiej łące swojej duszy i zrywał kwiaty słów, z których każde miało woń kadzidła. Oto mu rzekł:

- Gdyby Aladyn wszedł do twojego serca, zdumiałby się, ujrzawszy w nim takie skarby, jakich nie ma stu sułtanów na ziemi. Wiem, że cię za to Allach miłuje, rzekł bowiem dziś w nocy do Proroka: „Powiedz mi, czy to słońce upadło na ziemię, czy też to Abdul Azis po niej chodzi?" Niech ci za to da dwa razy więcej łat życia, niźli ja ci życzę, przyjacielu mój, którego miłuję. Powiedziałem.

Potem, usiadłszy naprzeciwko siebie, patrzyli sobie długo w oczy, a każdy z nich wiedział, co wiedział.

Kiedy zaś minęła długa chwila, o kulach chodząc, rzekł Mohammed, jakby nie wiedząc, jak się rzecz ma:

- Czy na drugim wielbłądzie przybył z tobą anioł Gabriel?

- Jest to córka moja - odrzekł skromnie Abdul Azis - która ciebie miłuje, o czym wiem pewnie. Ty mi zaś powiedz, kto jest ten człowiek, który nie patrzy na nas, tylko na twojego konia. Czy nie mniemasz, że ci go urzeknie, twój koń zaś i bez tego nie jest tak zdrów, jak by się tobie mogło wydawać.

Mohammed poczerwieniał i odrzekł powoli:

- Jest to człowiek, który wyciąga wiadra z wodą, a jest tak roztropny, że woli patrzeć na mojego konia niż na twoją córkę.

- Jeśli jest tak roztropny, tedy mu łacno wypłynąć może oko, jeśli się do niego przybliżę.

- Abdulu Azisie, ten człowiek jest tak mądry, że woli mieć tylko jedno oko, aby nie widzieć dwoma, iż córce twojej brakuje siedmiu zębów na samym przedzie.

W tamtym zapiekła się od razu wątroba i nieco się w nim rozlało żółci, nie dał tego jednak poznać po sobie, lecz nawet się uśmiechnął owym uśmiechem, którym człowiek uśmiecha się na pół już oszalały, i rzekł:

- Wiem, że lubisz żartować, bracie mój och, jakżem się uśmiał! Byłbym wśród śmiechu zapomniał ci powiedzieć, że minister Al Mahara daje mi za nią trzydzieści wielbłądów i sześć razy po sto baranów.

- A czyś ty nie poszedł do kalifa?

- Po co?

- Aby mu powiedzieć, że jego minister zwariował… A jeśli nie, dlaczegoś nie wziął tego, co ci dawał?

- Chcę bowiem mieć twego konia, który ogon ma bardzo piękny. Wszystko inne jest u niego zwyczajne i bez ceny; chcę jednak postąpić z tobą jak brat i dlatego pytam się ciebie wyraźnie, czy mi dasz konia za córkę, aby ci służyła przez tysiąc lat?

Mohammed nie odrzekł ani słowa, lecz powstawszy z godnością, zbliżył się do niewiasty, a otworzywszy jej rękami usta, począł pilnie liczyć jej zęby, po czym ująwszy w palce kosmyk włosów, próbował ich miękkości, jak się próbuje jedwabi w bazarze bagdadzkim.

Coraz mu się bardziej wydłużała obleśna twarz, za czym dotknął rękoma jej piersi, obejrzał ręce, po czym poza nią stanąwszy, mierzył starannie położenie łopatek, zaś na koniec, nieskromnie czyniąc, badał wszelką na jej postaci wypukłość. Kiedy to uczynił, usiadł znów spokojnie i rzekł jedno tylko słowo:

- Nie dam!

Abdul Azis pchnął go w tej chwili oczyma jak kindżałem i uśmiechnął się.

- Czego tedy chcesz za konia?

- Najpierw twojej córki.

- Już ci ją dałem.

- Oba wielbłądy będą moje.

- Hę?

- Dasz mi jeszcze tę szablę i dwa kindżały z damasceńskiej stali.

- Jak rzekłeś?

- Dasz mi dwa siodła, zaś co roku, aż do lat dziesięciu, dziesięć baranów, abym miał ją czym wyżywić, gdyż jest chuda.

Abdul Azis wywrócił białka oczu i zdawało się, że oszalał; dyszał tak ciężko, iż zdawało się, jakoby z pustyni nadciągała burza, po czym, oddechu nieco schwytawszy, poczerwieniał i rzekł jakby przez łzy:

- Córka moja ma twarz słońca.

- Mój koń - odrzekł Mohammed - nie zakrywa twarzy.

- Miłuje ciebie jak źrenicę oka.

- Zapytaj mojego konia, czy tego samego nie zdoła?

- Mohammedzie! widziałeś kiedy u kobiety nogi tak małe i tak piękne?

- Ma ich tylko dwie, mój zaś koń ma ich cztery.

- Bismillach! - jęknął Abdul Azis - ona ma głos. podobny do głosu słowika.

- Tedy chcesz mnie oszukać; mój koń nie mówi wcale. I to ci jeszcze powiem: nie będzie mi życzył śmierci ani mnie nie zdradzi, ani mnie nie przeklnie. Koń mój jest roztropny i nie trzeba mu adamaszku na szaty ani sandałów, ani bakalii. Ani nie płacze, ani się śmieje. Czy widzisz, jak bardzo chciałeś mnie oszukać, wielki złodzieju, synu Ali Baby? Dasz wielbłądy, szablę i siodła, i barany?

- Nie dam! - ryknął Abdul Azis i porwawszy się, chwycił swojego przyjaciela za rzadką brodę, ów zaś to samo uczynił, jeno łapczywiej, tak iż się tarzać poczęli po ziemi, wyrywając sobie włosy, dość sprawiedliwie i niemal w równej mierze. Krzyknęła niewiasta i przypadła do wielbłądów, oni zaś, niepomni na nic, trykali łbami o brzuchy, wyłamywali sobie ręce ze stawów i kąsali się spróchniałymi zębami.

Kiedy ich wreszcie moce odeszły, odpadli jeden od drugiego mocno dysząc i wyrzucając z ust słowa cuchnące i zgniłe. Aż im smagłe nagle pobladły oblicza i rozszerzyły się źrenice.

- Co to jest? - jęknął Mohammed.

Abdul Azis patrzył długo, wreszcie pojąwszy, krzyczał strasznie:

- Ów człowiek wiadra ciągnący porwał konia, wielbłądy i córkę moją i ucieka!…

- Allach Rossoulach!

Mohammed porwał się z ziemi i chwyciwszy się obiema rękami za głowę, trząsł nią jak kamieniem, przyjaciel zaś jego patrzył długo za zbiegiem, wreszcie rzekł słodko:

- Rzekłeś, Mohammedzie, to jest człowiek roztropny… Lecz co to jest?

Spojrzał i Mohammed. Oto ów człek zatrzymał się w oddali, pogoni się nie bojąc, po czym podniósł powoli zasłonę z twarzy córki Abdul Azisa; i można było widzieć z oddalenia, że nagle jakby piorun w niego trzasnął: chwyciwszy ją za ramiona, zsadził z wielbłąda i sam pognał jak wicher, ona zaś z wielkim płaczem wracała na łono swego ojca, któremu oczy wylazły na wierzch z rozpaczy.

Spojrzał na niego Mohammed i powiada:

- Rzekłeś, iż to Jest człowiek roztropny?

Ja ci mówię, iż to jest mędrzec, złodzieju ty, synu i wnuku złodzieja…

MORDERSTWO HARUN AR RASZYDA

Zmęczył się bardzo syn Mahdiego, sprawiedliwy kalif Harun ar Raszyd, albowiem przez dzień cały przyjmował poselstwo chrześcijańskiego sułtana, męża niezmiernie sławnego, chociaż był niewiernym i pił wino; słyszał, jak we wspaniałym orszaku stojący posłowie, na ciężkich mieczach się oparłszy, po wielokroć razy mówili imię „ar Raszyd" - za każdym razem ze czcią pochyliwszy głowy. Byli to zaś rycerze wspaniali, tak że nie orszak stał w tronowej sali ar Raszyda, lecz las dębów, co Merlinowym zaklęciem wyrósł z wielkich płyt marmurowych posadzki; mieli płowe włosy i ogromne wąsy, raczej do końskich podobne buńczuków niźli do ozdoby twarzy, piersi szerokie jak meczety i w pyszne przybrane zbroje lub też w skórę tak lśniącą, że z dala patrząc, mogłeś myśleć, że to lew, grzywą wstrząsnąwszy, na tylne łapy się podniósł, zaś przednimi na miazgę zetrze wszystko, co przed nim. Oczy mieli groźne i zbójeckie, Jakby krwią nasiąkło, lecz poznał szybko Harun ar Raszyd, że niezmierne jego ujrzawszy bogactwa, coraz większe się czynią i coraz bardziej są zdumione; postanowił je tedy zaćmić i coraz to nowe kazał im ukazywać bogactwa, tak że im się omal rycerskie nie pomieszały rozumy na widok kobierców tak wzorzystych, jak łąka na normandzkim brzegu, zbroi tak pysznych, jakich archanioł nie wdziewa na bój z szatanem, diamentów i pereł w niezmiernej ilości, wielu i wielu cudów, jakich nie masz w zaklętej pieczarze.

Dziwili się tedy bardzo i szczerbili mieczami marmurową posadzkę, zaś dusze ich wyszły z piersi, gdzie twarde i ciemne miały mieszkanie, i zawisły na rzęsach zdumionych oczu.

Harun zaś kazał wynosić dalej złote stągwie i złote talerze, puchary dziwnego kształtu i dostatek niezmierny, nie zdołał im jednak ukazać wszystkiego, albowiem słońce z diamentu stało się topazem żółtym, zaś za chwilę pociekła z niego krew jak z rubinu, zanim czarny agat nocy niesamowitym zamigoce blaskiem. Trzeba zaś było wielu dni, aby niewolnicy, pot ocierając z czoła po ciężkie.) pracy, zdołali wynieść wszystko ze skarbców, co w nich złotym spało snem pod strażą stu zamków i dziesiątków lwów, co łańcuchami przykute do muru i głodzone, chodziły tam i z powrotem przed drzwiami skarbca; dał tedy znak sprawiedliwy kalif, aby dano odpoczynek zdumionym oczom, sam zaś, zanurzywszy ręce w wielkim skórzanym bukłaku, w którym perły majaczyły tęczowym snem o dnie morza, dobywał je garściami i każdemu z rycerskiego grona króla Karola sypał je do hełmu, jakby sypał groch.

Potem zaś, zadowolony bardzo, skinął ręką na jednego z dworzan i rzekł łaskawie:

- Każ, aby każdemu z tych dostojnych rycerzy dano dziś na noc do łoża niewiastę. Niech powiedzą potem w swoim kraju, że w Bagdadzie wspaniali są mężе, a kobiety podobne do kwiatów.

- Najjaśniejszy Panie! - zdumiał się ów dostojnik.

- Czemu się wzdragasz?

- Panie! - mówi ten - stanie się, jak rozkazałeś; zanim jednak rozkażesz mi po raz drugi, zwróć na nich dostojne swoje oczy. Wszak klacz natolska nie starczyłaby dla każdego ze straszliwych tych giaurów, z których każdy większy jest od góry - czy pragniesz tedy, aby ci na nic popsowali wiotkie, z książęcych rodów dziewice, z których każda nazajutrz zemrze?

Zaś Harun, że był niezmiernie łaskaw, rozkazał:

- Dasz tedy każdemu po dwie.

- Mało będzie! - odpowiedział szeptem dostojnik, jeszcze raz badawczym spojrzawszy na nich okiem.

- Daj tedy każdemu po cztery! - rzekł kalif, na którego cześć oni wrzasnęli takim głosem, że szeptem przy nich jest huk, jaki powstaje, kiedy się wierzchołek góry oberwie i leci w przepaść, gdy im wyłożył uczony tłumacz, jak wielką jest kalifowa łaska. Za czym nastroszyły im się wąsy, a nogi drgać poczęły, można też było słyszeć, jak im serca tłuc poczęły o zbroje, jakby orły w żelaznych zamknięte klatkach; wraz tedy poszli namaścić sobie tłuszczem włosy, aby się godnie wydać sułtańskim księżniczkom, zaś Harun ar Raszyd odetchnął swobodnie i skinieniem głowy pożegnał swój orszak, potem, zwróciwszy oczy na swoją małżonkę, ujrzał, że jej oczy są na poły gniewne, na poły. smutne.

Rzekł tedy:

- Dlaczego jesteś smutna, szlachetna Zobeido?

Ona zaś nie odrzekła ani słowa, lecz skłoniwszy się, odeszła; stąpając zaś powoli do swoich komnat, myślała, że wielka i mocna musi być miłość giaura, który ma ramiona podobne sękatym maczugom, zaś uda podobne do konarów dębu. I była bardzo smutna, zaś przez całą noc płakała, rozmaite sobie wyobrażając sprawy, westchnęła zaś czasem ciężko, dziwnie coś sobie pomyślawszy.

Kalif kazał zdejmować ze siebie świetne szaty, z których jedna podobna była do wschodu, druga do zachodu słońca, wyjął zza pasa kindżał, który był podobny do tęczą mieniącego się węża, po czym odpasał miecz, podobny do błyskawicy; wielką poczuł ulgę, kiedy mu sprawny sługa zdjął z głowy turban, świetniej barwami grający niż rajski ptak albo bukiet kwiatów z sułtańskich ogrodów, i raz jeszcze odetchnął, jak człowiek, co ciężką ukończył pracę.

Czuć było już rześki powiew nocy, o której mówił kalif, że mu najmilszą jest z dziewic, umiał bowiem wiele mądrości usłyszeć w jej ciszy i wiele umiał spostrzec w jej mroku, co niewidzialne było dla innych. I dziś też pomyślał sobie, że mu najmilszym będzie odpoczynkiem, jeśli wyszedłszy tajemnie z pałacu (jak to już wiele czynił razy)? pójdzie na ulice Bagdadu, gdzie się dziwne rozgrywają sprawy, o jakich nie wiedział ani Mahdi, dostojny jego ojciec, ani al Dżafar, al Mansurem zwany, dostojniejszy jeszcze ojciec dostojnego ojca. Wiele już razy, wyszedłszy niepozornie na ulice swego miasta, słuchał, co mówią wielkie jego usta, z wielu tysięcy warg złożone, i zawsze usłyszał takie słowo, które bardziej jeszcze było podobne do prawdy, niźli diament podobny jest do łzy ludzkiej. Drżał na jego widok ar Raszyd, chociaż tylko jedna połowa jego duszy była sprawiedliwa, zasię druga miała oczy złe i puste myśli, jak się to często dzieje z duszą owych, którym Allach dał w ręce władzę i berło; wolał patrzeć na krew, niż na łzy, ciekące po ludzkiej twarzy i ryjące na nich bruzdy, jak wieczyście padająca kropla w białym je ryje marmurze; wtedy przymykał oczy, mrok mu padał na sprawiedliwą połowę duszy i bardzo się smucił, jak gdyby to jego paliły łzy.

Nosił na palcu pyszny pierścień, który zalśnił czasem tak, jak promień słoneczny, kiedy nagle jak błyskawica uderzy w diament i nie zarysowawszy go, świetny ogień tylko z jego wykrzesze twardości i tysiąc iskier; w kamieniu tego pierścienia zamknięta była jedna łza ludzka, zaś kiedy go zapytano:

- Wielki kalifie, co tak lśni w twoim pierścieniu?

- Trucizna! - odpowiadał Harun ar Raszyd.

Wtedy zaś myślał każdy w duchu:

- Przezorny jest kalif i na wszelki wypadek ma przy sobie truciznę. Czego się boi, który jest sprawiedliwy?

On zaś myślał, kiedy przed ludzkimi oczyma zdołał ukryć oblicze, jakby uczynić, aby w mieście jego i w jego ziemi wszystkie łzy obeschły, a została tylko ta jedna, na wieczne czasy zamknięta w świetlistym oku pierścienia, skąd na świat wyjść nie może i rozmnożyć się jak szarańcza, nic się tak bowiem nie mnoży jak łzy. Wielka była o to jego troska i coraz większa, chociaż wiedział, że Allach zdoła osuszyć morze, nie zdoła zaś i on nawet osuszyć ludzkich łez, które są przekleństwem większym niż moc Allacha; ile bowiem Allach zbierze łez z wielkiego pola, słońce do tej wysławszy pracy, tyle ich nowych szejtan posieje w nocy, a rano już wszedł zaśniedziały kłos smętku i cierpienia; i tak się odbywa to zmaganie od początku świata i nie ustanie nigdy, albowiem przyjdzie kiedyś czas taki straszliwy, że i Allach zwątpi, i sam z wielkiego smutku zapłacze. Wtedy nastąpi koniec świata, bo gdyby

księżyc, od niebieskiego stropu się oderwawszy, upadł na ziemię, nie runąłby w świat w wielkie morze ciemności, w którym pływa na grzbiecie ryby, kiedy jednak jedna łza Boga nań upadnie, runie ziemia i tak się zapadnie, jak kamień pada w otchłań.

Wiele już razy myślał tak Harun, wtedy szczególnie, kiedy noc, w gwiezdny przybrana turban, schodziła na ziemię jak zadumany pielgrzym, co przysiągł milczenie i język sobie kazał uciąć, aby dotrzymać przysięgi. I teraz myślał o tych sprawach, o których człowiek zwyczajny myśleć nie chce i przed którymi ucieka, jak przed śmiercią lub złym powietrzem zarazy; mniemał jednakże, że dzielnym winien być za tych. którzy są słabi, i myśleć powinien za owych, którzy drżą pomyślawszy o śmierci, albo też o wielkim cierpieniu. Czynił zaś zawsze tak, że poznawszy je po bladej i nędznej twarzy, nigdy się nie odwracał, lecz przystawał łaskawie i chciał je pocieszyć, że zaś dwóch niewolników, stojących przy wejściu do pałacu ze spisami w rękach, odegnałoby każdą nędzę, tedy kalif wychodził w ulice swojej stolicy i szukał cierpienia, dziwny w leczeniu go czując odpoczynek i radość na duszy.

Kiedy pomyślał, jak niezmierny przepych widzieli dziś w jego pałacu cudzoziemscy posłowie, zadrżał pomyślawszy sobie, jak wielką mogliby ujrzeć nędzę poza bramami pałacu, zszedłszy ku rzece, która niezdrowy ma oddech. Oczy przymknął na chwilę i westchnąwszy rzeki sobie:

- Pójdę obaczyć, czy rzeka nie wezbrała od łez…

Potem klasnął w ręce i słudze, który się zjawił, rozkazał:

- Uczyń ze mnie dostojnego Persa, który przybył do Bagdadu ujrzeć Raszyda i oszukiwać na wadze wełny.

W łot pojął chytry sługa życzenie kalifa i począł go przybierać sprawnie, do zachcianek nawykły; odział go w żółte suknie, przepasał wzorzystym pasem, a turban mu nasadziwszy na głowę z takiej samej materii, posypał mu brodę szkarłatnym proszkiem, tak że pachnąc pięknie, wyglądał nad wyraz dostojnie. Kiedy skończył, przypasał ar Raszyd krzywą szablę na jedwabnych wiszącą sznurkach, po czym długą laskę ze słoniową u szczytu gałką ująwszy w prawicę, wsadził za pas kiesę, pełną złotych pieniędzy, i wyszedł tajemnymi drzwiami, którymi zawsze nocą wynoszono trupa, jeśli umarła w pałacu kobieta, mężowie bowiem umierali w srogiej walce lub też w łaźni, naglą od nadmiernego gorąca rażeni śmiercią.

Owiał go chłód, który się lągł nad rzeką, lekki zaś wiatr strząsnął nieco szkarłatnego pyłu z kalifowej brody; Harun pomyślał przez chwilę, w którą by pójść stronę, po czym dostojnie i nie spiesząc się, jak przystało na bogatego handlarza wełny, wszedł - kilka pustych

minąwszy placów - w wąskie uliczki, skąd wypełzła w tejże chwili smrodliwa woń i nie uszanowawszy szlachetnych jego nozdrzy, wiercić w nich poczęła. Przyspieszył kroku ar Raszyd i po chwili zmieszał się z tłumem, co po skwarnym dniu wyległ' na ulicę świeżego zaczerpnąć powietrza, które gęste było i ciężkie, milsze jednak niźli w kamiennych domach.

Przystanął tu i ówdzie, patrzył ciekawie na wszystko, co się działo, wiele z tego snując myśli, nie przejdzie bowiem człowiek rozsądny nawet obok kamienia, iżby czegoś w kamieniu tym nie spostrzegł, czego inny nie ujrzy, choćby dzień w dzień przez lat sto koło niego przechodził; mniemał bowiem ar Raszyd, że nie ma na ziemi rzeczy takiej, na której by nie można dostrzec odcisku Allachowego palca i jednej króciutkiej chwili jego zadumy, dlatego też wszystko należy mieć w czci oprócz kobiety, prawdą jest bowiem, że do tego dzieła złego ducha Allach ręki nie przyłożył, stąd też nie ma na niej boskiego śladu.

Przystanął kalif patrząc, jak sześciu mężów trzymało za rogi i za nogi barana, jeden zaś rzezał mu gardło, lecz że nóż był tępy, czynił to niezdarnie i odpoczywał od czasu do czasu, mówiąc innym:

- Złe to będzie mięso, albowiem baran ten jest twardy!

Potem go znów rzezał z wielką mocą i w skupieniu, inni zaś patrzyli na jego pracę i jedli barana oczyma, wielce zachłannie, z lubością słuchając boleściwego jego beku; za chwilę gonili go z wielkim krzykiem, albowiem, wyrwawszy się, biegł pędem, aż uderzył z nagła głową o mur i otumaniał.

Ówdzie znów ujrzał Harun ar Raszyd, jak niewiasta doiła kozę, ta zaś, w kismet wierząc, stała bez ruchu, sprytnie tylne rozstawiwszy nogi, jedenaścioro zaś dzieci czekało na mleko, zastygłszy w ruchu oczekiwania. Dalej zaś przypatrywał się z wielką ciekawością, jak na progu domu siedząc kobieta wyszukiwała robactwo w głowie męża, zaś mały chłopak, kładąc je na kamieniu, uderzeniem drugiego kamienia pracowicie je zabijał.

- Lud mój jest niechlujny - pomyślał kalif, lecz się nie rozgniewał, tylko zatroskał bardzo i szedł dalej, omijając kałuże i wielkie psy, śpiące na środku drogi.

Kiedy już schodzić poczynał ku rzece, usłyszał wielką wrzawę przed poczerniałym kamiennym domem, zaś wielu ludzi, pochylonych ku ziemi jęczało bardzo dotkliwie; przystąpił tedy bliżej i zapytał, jaka była przyczyna zgiełku.

- Człowiek tu jeden umiera w wielkich mękach…

- Czyżby śmierć policzyła mu lata i powiedziała, że już wiele ich przeżył?

- Obcy jesteś, widać Pers, nie wiesz więc, że nikt w Bagdadzie nie umiera siwy…

- Jak rzekłeś?

- Powiedziałem ci, że tu nie można o głodzie dożyć siwej brody.

- Czy ten człowiek umiera z głodu?

- Nie zgadłeś - ten człowiek umiera z przejedzenia.

- Hę? - zdumiał się kalif.

- Nie mając mąki, zjadł dziś z rozpaczy ziemię, aby oszukać żołądek, i widać zjadł jej za wiele, bo umiera i- znów będzie jadł ziemię,

Kismet!

Harun ar Raszyd stał bez ruchu, zastygł bowiem w bólu; oprzeć się musiał na hebanowej swojej lasce, aby się nie zatoczyć w tył, i patrzył przerażonym wzrokiem na chudego człowieka, który był siny, a ręce miał spętane kurczem i drapał okrągło kamienie bruku.

- Czemu się tak dziwisz - spytał go ten, który z nim mówił - czy w twoim kraju nikt nie umiera?

- Lecz nie z głodu - odrzekł kalif. Czemu ten człowiek nie poszedł do kalifa, który by go był nakarmił?

- A wiesz, czemu kalif nie przyszedł do niego?

- Nie wiem, zaiste.

I drżącymi rękoma począł wydobywać zza pasa kiesę, a wygarnąwszy z niej kilka złotych sztuk, rzekł cicho:

- Daj mu to ode mnie…

- Daj mu ty sam, jeśli mniemasz, że śmierć można przekupić cekinem. Czemuś nie przyszedł wcześniej?

Harun ar Raszyd stał chwilę, nie bacząc, że mu się złoto wysunęło z ręki, po czym z wysiłkiem wielkim się odwrócił i szedł stamtąd powoli, pochylony, jakby tego człowieka, który właśnie skonał, na własnych dźwigał barkach. Rozstępowali się przed nim ludzie z szacunkiem, postać jego uważając dostojną i bogaty ubiór, on zaś nikogo nie widział, tylko szedł i szedł. Czasem usłyszał przenikliwy płacz dziecka i wtedy przyspieszał -kroku, ręką sobie zatykając uszy.

Nagle musiał przystanąć, gdyż na środku ulicy stał osioł, rozkraczywszy nogi, zaś pod nim, jak pod ruchomym dachem, leżał człowiek, kamień sobie wziąwszy pod głowę.

- Czemu nie dajesz mi przejść? - rzekł łagodnie do owego człowieka.

- Czemu nie dajesz mi spać? - odpowiedział tamten.

Harun ar Raszyd przyjrzał mu się z uwagą.

- Czy nie masz domu, w którym byś mógł spać?

- Czy jestem kalifem, abym miał dom? Przebacz mi, Panie, ze nie powstałem, aby uderzyć przed tobą czołem, gdyż widzę, że jesteś łaskawy, lecz nogi mam opuchłe, dzień cały stoję w wodzie.

- Co czynisz?

- Dobywam namuł w miejscu, gdzie mają budować tamę, potem dwa kosze nakładam na osła, jeden zaś sam dźwigam na plecach.

- I czy zawsze sypiasz pod swoim osłem?

- Nie zawsze, bo czasem i on się położy.

O nic już nie pytał ar Raszyd, lecz znów dobył sztukę złota i rzekł, pochylając się do leżącego:

- Weźmij to ode mnie…

- Co to mi dajesz, złoto? Jeśli masz kilka daktylów, wezmę je chętnie, lecz złoto mi na nic, gdybym je bowiem pokazał komukolwiek, dostałbym kije, powiedziano by bowiem, żem je ukradł, mój osioł zaś nie jest tym, z którego pada złoto. Szczęśliwej drogi, cudzoziemcze…

- Niech cię Allach chroni!

- Nie przypominaj mnie Allachowi - od rzekł tamten - gdyż jeśli mnie spostrzeże, spuści zaraz deszcz, abym nie spał na ulicy.

Przypatrywał się Harun jeszcze długą chwilę temu dziwnemu człowiekowi i w większej jeszcze zadumie zbliżył się do wielkiego mostu, który rozkazał zbudować przed niedawnym czasem. Wielki stąd dochodził zgiełk i gwar, zawsze bowiem nad rzeką gromadzili się ludzie liczniej, jakby mniemając, że im woda z daleka coś lepszego przyniesie. Wiele tu było bazarów, które już o tej porze były zamknięte, i wiele namiotów wędrownych handlarzy, wielki zgiełk czyniących we dnie, większy jeszcze w nocy, każdy bowiem w obcym będąc mieście, trwożył się bardzo, więc krzyczał jak najgłośniej, aby wszystkim było wiadomo, że jest mężny i że się nikogo nie lęka. Tu też u wejścia na most sprzedawano odaliski, więc ciżba była wielka, znaczniejsza może niż na targu końskim we wschodniej części miasta, pod noc zaś tym większa, że niewiasty, drogie we dnie, tanio można było kupić pod wieczór, wiadomo bowiem, że każdy towar jest tańszy przed zamknięciem sklepu, handlarze zaś najgłośniej krzyczeli i zachwalali u zmroku, myśląc chytrze, że w ciemności łatwiej jest sprzedać niewiastę po wielokroć razy już użytą albo też wiele mającą błędów w budowie.

Właśnie na wystającym kamieniu przy moście stał handlarz i krzyczał bardzo donośnie:

- Za trzy wory mąki i za dziesięć miar oliwy sprzedam Miriah, która ma lat dwanaście, a jest tak piękna, że mi stado wielbłądów chciał za nią dać jeden książę, lecz umarł. Oho! Oho! Kto da trzy wory mąki i dziesięć miar oliwy, abym już odszedł do miasta, gdyż noc zapada? Wszystkie ma zęby ta dziewica, słyszy dobrze i widzi dobrze, zaś je tak mało, że ją rzemieniem zmuszać potrzeba, aby jadła. Z królewskiego jest rodu i umie gotować pilaw, i czyścić plamy na jedwabiu! Czy nie słyszycie mnie, dostojni ludzie, czy też Allach wam rozum odebrał, jeśli nikt nie chce kupić dziewicy za trzy wory mąki i dziesięć miar oliwy? Oby się z was żaden nie obudził jutro, psy parszywe!

Przybliżył się kalif i słuchał; handlarz, ujrzawszy jego strój dostatni, głos podniósł jeszcze bardziej i wołał:

- Kup ją, Persie dostojny, abyś miał radość i uciechę, i potomstwo do ciebie podobne! Sprzedam ci ją tanio: za sześć worów mąki i za dwadzieścia miar oliwy, chociaż sam więcej zapłaciłem za nią ojcu jej, który jest sułtanem w bardzo dalekiej ziemi…

- Mniej za nią żądałeś pierwej - rzekł kalif.

- Musiałem oszaleć albo język mi usechł, a jeśliby tak było, czybym śmiał cię obrazić i żądać tak mało? Kup ją, dostojny panie czy nie widzisz, że się uśmiecha na widok twojego oblicza, które jaśnieje, jakbyś był kalifem.

- To rzekłszy, kopnął ją nieznacznie i szepnął:

- Smiejże się albo skórę z ciebie zedrę!

Ona zaś wybuchnęła nagłym płaczem, którego już utrzymać nie mogła w piersi.

- Coś jej uczynił? - zawołał ar Raszyd.

- Bacz, żebym ciebie nie kopnął w opasły twój brzuch, złodzieju! - krzyknął handlarz i plując sobie na brodę z wielkiego gniewu, powlókł dziewczynę przemocą, niosąc ją prawie, gdyż mu leciała przez ręce.

Patrzył za nimi kalif, mało już widząc w zmroku, po czym spojrzał smutno na swój pierścień, w którym zamknięta była łza z ludzkiego oka, i wszedł na most.

Albo dzień był jakiś straszny, albo Allach zamierzał pokazać słudze swemu, Raszydowi, wszystką nędzę ludzką, gdyż zaledwie ten kroków parę uczynił, wpadł na niego wielki krzyk i narzekania, jak kiedy ktoś szybko biegnący z nagła w pierś cię uderzy. Wielu ludzi, pochyliwszy się, patrzyło w mętną, mrokiem i zarazą nasiąkła wodę, nikt zaś twarzy nie miał przerażonej, wszystkie były tylko beznadziejnie smutne.

Zbliżył się kalif i też spojrzał w wodę, która płynęła bez szelestu, czasem tylko głuchym zagadawszy bulgotem albo złym szmerem i gniewnym - kto bowiem jest potężny i

mocny, ten gniewu swego nie objawia krzykiem, lecz zabija bez słowa - ujrzał na dole płynny mrok i leniwą, powoli wciąż naprzód pełzającą ciemność, jakby lepką i oślizgłą.

- Nie widać nic! - wołał ktoś wypatrując oczy.

- Widać - wołał inny.

- Co widzisz?

- Na wodzie pływa Koran…

- Allach Bismillach! - jęknął tłum.

- Święta księga utonąć nie może!

- Allach Rossoulach!

- Górze! górze!

Jeden zaś, świadomy sprawy, tłumaczył innym, którzy później przyszli:

Z mostu rzucił się w rzekę stary człowiek… Zwał się Jusuff i siedział przez dzień cały na moście… W miskę mu każdy rzucał, co mógł, a on za to czytał głośno Koran i każdą surę tłumaczył mądrze i roztropnie…

- Prorok go nagrodzi! - Czemu się pozbawił życia?

- Od wielu dni nikt mu nic nie dał, albowiem nędza jest wielka i wielka rozpacz… Co można dać z pustej sakwy, o Allach!? Sił mu zabrakło i głosu, a z głodu w oczach mu było ciemno… do wody jeszcze zdołał trafić…

- Nieszczęście! - krzyknęli wszyscy.

- Cicho! - zawołał jakiś głos - człowiek umarły jest w pobliżu, należy zachować milczenie.

Wszyscy umilkli nagle, potem mówili tylko szeptem, słowa zaś ich były pobladłe i bardzo, bardzo smutne.

- Człowiek to był święty (mówili) i wiele wiedział; za dwa daktyle opowiadał bajkę tak piękną, jakiej nikt inny nie wymyślił, kiedy zaś kto był smutny, a biedny, temu opowiadał za darmo…

Nie słyszał już dalszych słów kalif Harun ar Raszyd, gdyż ręką twarz zakrywszy, uciekał z tego straszliwego miejsca, lecz smutek, ściglejszy niż czarny bachmat z sułtańskiej stajni, dopędził go szybko i opadł jak chmura na kalifowe serce, które drgnęło.

*

- O bracia moi! Dziesięć sztuk złota mi potrzeba, abym był szczęśliwy! Ani mniej, ani więcej, tylko dziesięć sztuk wedle uczciwej wagi, nie obrzezanych chytrze nożem. Na Proroka! Niech się tysiąc ludzi złoży i da mi je, a ja im dam szczęście, wobec którego niczym są skarby sułtana. Prorok mi powiedział tajemnicę, kiedym spał, aby szczęśliwi byli ci, co go miłują… Ooch! Dziesięć sztuk złota mi potrzeba, a więcej uczynię niż Allach i więcej niż wszyscy mędrcy, jacy byli i jacy będą der skończenia świata! Kto się zmiłuje i kto mi dopomoże? Na brodę Proroka! nie przechodźcie mimo i wysłuchajcie moich słów, w których jest tajemnica, a kto mnie wysłucha - będzie szczęśliwy!

Tak, głośno zawodząc, wołał z drugiego naczółka mostu człowiek dziwnie chudy, niemal przejrzysty, z oczyma tak rozgorzałymi jak węgle i z włosem rozwianym; koszulę miał na piersiach rozchełstaną, zaś na głowie nie miał turbana i tak do innych był niepodobny, że nawet człowiek, który się bardzo śpieszy, musiałby przystanąć i spojrzeć na to oblicze, jakie mają widma albo ludzie śmiertelnie chorzy.

- Szalony jest to człowiek - rzekł ktoś i jakby słów się swoich przestraszywszy, szybko odszedł. Inny zaś mówił:

- Jeśli do skończenia świata stać tu będzie, może zbierze sześć sztuk złota, dziesięciu zaś nie znajdzie nigdy.

Śmiali się wszyscy usłyszawszy te słowa, łatwiej bowiem było, iżby rzeka w przeciwną poczęła płynąć stronę niż o tyle sztuk złota. On zaś jakby śmiechu tego nie słysząc, podniósł głos jeszcze bardziej i wołał tak głośno, że go można było usłyszeć po obu stronach rzeki:

- Zmiłowania! Zmiłowania! Za kilka cekinów radość zapanuje na ziemi i pognębiony będzie wróg najstraszniejszy, który wszędzie jest i wszędzie czyha, a nikt na niego nie zna broni, tylko Allach jeden, a ja drugi.

- Uważ - krzyknął ktoś - by cię Allach nie pokarał śmiercią!

- Śmiercią?! - wołał chudy człowiek nie ja się lękam śmierci, lecz ona mnie się lęka. A, bracia! Słyszy mnie Bóg i nim się klnę, że nie jestem ani złodziej, który złoto chce ukraść, i że nie jestem oszust, bo głośno mówię. Jestem ten, który znalazł szczęście, który wie, gdzie ono mieszka, lecz nie mam dziesięciu sztuk złota, abym z nich uczynił złoty klucz i wszedł do tej jaskini, w której mieszka tajemnica… Dwanaście tysięcy przeczytałem ksiąg i od długiego już czasu sen moich nie zamknął powiek, chyba przemocą…

Wszedł w gromadę ludzi Harun ar Raszyd i słysząc dokładnie wszystkie słowa, nie widniał mówiącego, miał bowiem oczy pełne jakby krwawego blasku i krwią barwionej mgły, z niej zaś upiornym wejrzeniem patrzyły w niego wszystkie bolesne twarze, którym się z

bliska dziś przypatrzył; musiał dopiero przetrzeć oczy dłonią, z mim ujrzał dziwnego owego człowieka, który o tak niezwyczajną prosił jałmużnę. Patrzył pilnie w jego twarz, usiłując spostrzec na niej szaleństwo, Ujrzał jednak tylko twarz niezmiernie bladą, na której zalśnił od czasu do czasu migotliwy błysk nadziei; wyciągnięte nad tłumem białe i chude ręce tego człowieka drżały silnie, nim zaś samym dreszcz wstrząsał. Wtedy przymykał oczy, a otwierał lekko usta, jakby chcąc zaczerpnąć powietrza; w onej chwili spływało mu spod powiek na oblicze zwątpienie, tak że się zda. -Wał szary i wyglądał z tą twarzą nagle zagasła i w oberwanej swej szarej opończy, jakby wyszedł tajemniczym sposobem z mroku nocy.

- To nie jest człowiek zwyczajny - pomyślał Raszyd i postanowił wysłuchać jeszcze jego słów, które się podniosły za chwilę, jakby z trudem po zbyt krótkim odpoczynku, i szły nad tłumem jak gromada bardzo zmęczonych ludzi, co brnie przez gorące piaski i wciąż się słania na nogach; wnet jednak, jakby chłodem nocy orzeźwione, krzyknęły raźniej, jaśniej błysnęły i poczęły wołać rozgłośnie:

- O bracia moi! od dwóch lat tu stoję i błagam was przez dzień cały i do późnej nocy, zanim ostatni nie minie mnie przechodzień… Biada mi… Czemu nie padłem na pustyni lub się nie obwiesiłem na palmie?… Po co przyszedłem do was, niosąc wam szczęście w obu dłoniach; czy po to, żebyście przeszli mimo, splunąwszy? Bo od wschodu do zachodu nikt me zaznał tej niezmiernej słodyczy, jaką ja mu zgotuję, i czy dlatego nie mam tego uczynić, że nie mam dziesięciu sztuk złota, które ma każdy zbójca i każdy handlarz oliwy? To wam zaś mówię: jeśli trzeba, .bym sobie miał rękę uciąć za to złoto, utnę ją i oko sobie wyłupię; jeśliby trzeba, abym za każdą sztukę złota płakać musiał przez sto dni - klnę się na Allacha, że to uczynię bez skargi. Wielkie jest bowiem moje dzieło, a radość moja większa będzie niż moje umartwienie, dzieło moje jest większe niż morze i pustynia, i większe niż cała ziemia. Gdybym wam o nim powiedział, całowalibyście moje ręce i nogi, i kraj mojej szaty…

- Och! och! - zaśmiał się tłum - piękny jesteś jak odaliska!

On się stropił na jeden moment, lecz potem, nagłym i gniewnym ruchem włosy odgarnąwszy z czoła, patrzył na nich w milczeniu z wielką pogardą, którą z oczu jego dopiero łzy wyparły; głos mu się załamał, kiedy kończył:

- …A ja rzec wam nie mogę przed czasem, bo zawieść może rozum ludzki… Niech łzy moje spadną na was…

- Zamilcz! - krzyknął ktoś z tłumku i podniósł laskę, lecz jakby zastanowiwszy się, że nie należy bić szaleńca, splunął tylko w jego stronę i odszedł; coraz to zaczęli odchodzić inni, jedni śmiejąc się w głos, inni znów litując się nad człowiekiem, któremu Allach odebrał rozum, za wielkie go -jakieś karząc przewinienie. Inni znowu odchodzili w milczeniu, myśląc

w ciszy serca o tym, jak niedoścignione jest szeleście, jeśli tak wiele trzeba za nie zapłacić złota.

Ów człowiek, silnie umęczon, zdumiał się bardzo, kiedy nagle ujrzał, że ktoś mu patrzy pilnie w oczy, ani litościwie, ani urągające, lecz tak, jakby go chciał przejrzeć do dna duszy.

Takby zniewolony tym wzrokiem, mimo woli pochylił głowę w pokłonie. Zaś Raszyd spytał dostojnie:

- Jak cię zowią?

- Atros! - odrzekł ten - nie dziw się memu imieniowi, albowiem pochodzę z Egiptu.

- Czy jesteś mędrcem?

- Nie wiem, Panie!

- Uważałem, ze w słowach twoich są ziarna mądrości, powiedz mi tedy, skąd ją masz?…

Ów milczał chwilę, jakby z lubością sobie coś przypominając, po czasie zaś twarz mu zaczęła płonąć i oczy błysnęły.

- Wicie wiem - odpowiedział - lecz mądrość moja nie jest z tego świata.

- Kto cię tedy nauczył tego, co wiesz?

- Ludzie umarli! - odrzekł ów, lecz cichym szeptem, jakby się bał, że go rzeka posłyszy, nikogo już bowiem nie było ani na moście, ani w pobliżu.

- Straszne wyrzekłoś słowo - mówił mu Raszyd - czy nie boisz się nocy?

- Nie boję się śmierci!

- Dziwny jesteś człowiek… Jacy ciebie uczyli umarli?

- Ci, co leżą w egipskiej ziemi, zagrzebani w piaskach albo ukryci w pieczarach, albo ułożeni w piramidach.

Nagle stał się niespokojny.

- Czemu mnie tak pytasz jak sędzia?

Kalif roztropnie rozmawiał przez czas niejaki z duszą swoją, po czym powoli wymawiając słowa mówił:

- Jam jest ten, który ci da dziesięć sztuk złota…

Jak kiedy ktoś do wysuszonego lnu przyłoży płonącą żagiew, len zaś strzelistym buchnie płomieniem, tak w ogniach stanął ów człowiek; że zaś zbyt nieoczekiwanymi były te słowa, a zwątpienie jego było śmiertelne, więc jak człowiek, którego mocarz jakiś z nagła ciężkim bułatem uderzy w ciemię, zachwieje się i wali jak podcięta palma - tak on się zachwiał, a wykrzyknąwszy słowo niezrozumiałe, którego nie ma w języku ludzi

nieuczonych, zwalił się do stóp kalifowych i leżał jak martwy. Harun ar Raszyd skinął smutnie głową i zrozumiał, że słowami swoimi zabił tego człowieka, zdarza się bowiem często, że dobrodziejstwo równie nagle zabija, jak wielka krzywda. Uradował się więc po chwili, ujrzawszy, jak się leżący u jego nóg wstrząsnął nagle, jakby go dotkliwy mróz kościstą dłonią uderzył w tył czaszki, potem zaś usłyszawszy cichy płacz u stóp swoich.

Zabulgotało w owym człowieku najpierw ciche łkanie, podobnie jak w zamkniętym naczyniu i postawionym na ogniu woda bulgotać zaczyna, aż się z niej war uczyni - potem coraz głośniejsze i tak mocne, że drżało całe ciało człowieka, wreszcie zaś polał się z jego oczu wielki strumień gorących łez, padających na safianowe sandały Raszyda i na uliczny kurz. Poczuł kalif, że mu się serce ściska i że się z piersi podnosi ku gardłu, więc pochyliwszy się, chciał unieść tego człowieka z ziemi. On zaś, objąwszy obiema rękami nogi Haruna, całował je.

- Co czynisz? - rzekł ten i cofał się.

Atros zaś (wszak tak się nazywał) leżał jeszcze chwilę bez ruchu, potem się z trudem podniósł na kolana i tak klęcząc, jakby w stronę Mekki patrzył, mówił:

- Nie błogosławię cię, Panie, cóż bowiem jest błogosławieństwo wobec tego, czym ja ci zapłacę twoje złoto?!

- Co mi możesz dać ty, który nie masz całej szaty?

- Panie - rzekł Atros - bogatszy jestem od Haruna ar Raszyda.

Usłyszawszy swoje imię rzekł kalif:

- Mówiłoś, że wicie już dni wołałeś w tym miejscu nadaremnie: czemuś nie przyszedł do tego, którego imię wypowiedziałeś w tej chwili - wszak ten byłby ci dał to złoto bez wahania.

- Kalif Raszyd?

- Nie inaczej…

Atros zaś zasmucił się i mówił bez żalu, lecz głosem smutnym:

- Żadna matka nie woła tak tęsknie imienia swego dziecka, które jej zginęło na pustyni, jak ja przez wiele nocy stojąc pod murem jego pałacu wołałem pomocy Raszyda…

- Nie słyszałem twego głosu! - rzekł kalif zdumiony; spostrzegłszy zaś, że się zdradził mimo woli, poczerwieniał.

Atros jednakże nie pojął dziwnych słów dostojnego męża, gdyż rzekł:

- Gdybyś był kalifem, tobyś mnie usłyszał.

Usłyszawszy to słowa Harun nieznacznie zwrócił się ku miastu i rzekł szybko:

- Noc już jest późna i Bagdad odpoczywa w błogim śnie. Odpocznij i ty i przestań się trapić: troska twoja już umarła.

- Ty za to nigdy nie umrzesz, szlachetny panie' - odrzekł Atros dziwnie przenikliwie i nie tak, jak się wymawia błogosławieństwa.

- Nie rozumiem ciebie! - rzekł kalif przejęty dziwnym brzmieniem jego głosu.

- Zrozumiesz mnie jeszcze dziś, zanim słońce wstanie. Czy masz przy sobie złoto, czy każesz mi po nie przyjść? Jeśli tak, wiedz, że pójdę po nie, choćbyś mieszkał w piekle albo w środku solnego bagna na pustyni.

- Mam je! - rzekł Harun i wydobywszy kiesę wyliczył na wyciągniętą dłoń Atrosa dziesięć sztuk świetnie błyszczących, jeszcze nie skalanych użyciem ani nie wytartych, ani nie obrzezanych. Atros drżał cały, tylko ręka jego, na którą Harun kładł złoto, nic drgnęła ani razu, jakby była uczyniona ze stali, i zdawało się, że żaden mocarz nie zdoła otworzyć jego dłoni, kiedy ją po chwili zacisnął i przyłożył do piersi w miejscu, gdzie jest serce.

Spojrzał dziwnym wzrokiem i rzekł głosem niezmiernie wzruszonym:

- Wiedz, że w tej oliwili Allach nie patrzy na nic na świecie, tylko na nas.

- Czy się raduje?

- W tej chwili Allach się lęka… odrzekł tamten szeptem. - Pójdź za mną, Panie, abyś pierwszy ujrzał to, o czym świat cały mówić będzie aż do swego końca.

Usłyszawszy to, pomyślał Harun w pierwszej chwili, że spełniwszy dobry uczynek, należy opuścić tego człowieka, który Allachowi grozi wśród nocy i ma obłąkane oczy; Atros jednak ujrzawszy, że się tamten ociąga, pochylił przed nim głowę i powtórzył:

- Powiadam ci, że za dziesięć sztuk złota kupiłeś swoje szczęście, błagam cię przeto, pójdź za mną, abym ci spłacił dług.

Harun zmacał niewidocznym ruchem kindżał za pasem i poznawszy, że łatwo wychodzi z pochwy, iść począł za nim bez jednego słowa, na wszystko gotowy.

*

Szli już może godzinę w wielkim milczeniu, tłumiąc nawet odgłos kroków bez myśli o tym, jakby szli na kradzież cennych koni w pustyni. Obaj ważyli w sobie jakieś myśli, zaś Harun, wzniósłszy od czasu do czasu oczy na niebo, modlił się w duchu:

- Nie wiem, co chce uczynić ten człowiek - chroń mnie, o Allach - temu zaś racz przywrócić zdrowe myślenie, jeśli je postradał za twoją niepojętą sprawą.

Niebo jednak było milczące i miało twarz czarną i niezgłębioną. Ulice, wąskie i krzywe, były puste, tu i ówdzie tylko dojrzeć można było sączące się przez szparę muru brudne światło, jak nieczystość z zakisłego oka, które chorzeje, czasem zaś z dała dobiegło tęskne wycie psa, co oznacza śmierć.

Atros szedł na przedzie, widząc wśród nocy, zaś Harun szedł tuż przy nim, nie bacząc, którędy idzie i przez jakie ulice; pamiętał tylko, że rzekę ma po prawej stronie, skąd czuł powiew i daleki, cichy szmer. Nie czuł w tej chwili zmęczenia, raczej podniecony był wielce dziwną przygodą, jakiej jeszcze nie miał w życiu, nigdy jeszcze bowiem tak daleko nie odszedł od swego pałacu bez sług i bez orszaku; dziwną miał jednak wiarę, że ten człowiek niepozorny jakąś nadzwyczajną rzecz mu ukaże. Może zaś i noc była winna temu, że dusza kalifa Haruna, dotąd spokojna i stateczna jak dusza mędrca, poczęła się targać w Harunowej piersi i bić skrzydłami, on zaś sam powstrzymać tego nie mogąc ani ukryć, zadrżał często gwałtownie i poczuł, że mu w ustach brak śliny.

Rzecz jest dziwna, lecz Harun ar Raszyd cieszyć się począł myślą, że jego przewodnik zbłądził w gęstwinie uliczek i że będzie tak szedł za nim aż do wschodu słońca, toteż cofnął się nagle, kiedy ów przystanął przed kamiennym domkiem, z dala od innych stojącym, i skłoniwszy się głęboko, rzekł cicho:

- Racz wejść, Panie!

- I począł dziwnym sposobem otwierać wrota w murze.

Ar Raszyd zebrał się w sobie i uczynił krok naprzód, ściskając w rozpalonej dłoni zimną głownię kindżału, mającą w sobie chłód wężowego cielska. Atros, wszedłszy za nim, zamknął starannie wrota i pociął go wieść przez głuchy kamienny dziedziniec, zaś drugie drzwi otworzywszy, wprowadził go w sień, potem do oświetlonej trzema lampami obszernej komnaty.

Cofnął się nagle ar Raszyd i drżał, oparty o ścianę.

- Co to jest? - szeptał.

- Nie lękaj się, Panie! - odrzekł Atros to jest człowiek umarły, który ci nic złego nie uczyni; widzisz zresztą, że jest cały spowity w chusty i nie ma. sztyletu. Jest to mumia jednego egipskiego mędrca, który widział najwięcej na świecie, lecz śmierć większą miała mądrość niźli on.

- Czemu go nie zakopiesz w grobie lub nie wrzucisz do rzeki?

- Czybyś tak uczynił ze swoim ojcem?

Poznał w tej chwili ar Raszyd, że jest to człowiek szalony, i przeraził się.

On zaś mówił:

- Jest to ojciec mój, który mnie opuścił przed dwoma tysiącami lat, wiedząc jednak, że się kiedyś narodzę, schował dla mnie w swym grobie bogactwa.

- Cóż ci pozostawił?

- Swój mózg i swoje serce. Chcesz je ujrzeć?

To rzekłszy wydobył ze skrzyni okutej żelazem niewielkie zawiniątko, odwinął żółtą od starości jedwabną chustkę i ukazał oczom ar Raszyda zwój papirusów, bardzo spłowiałych i bardzo uszkodzonych.

- To jest jego mózg i serce; mózg jego znał wszystkie mądrości świata, zaś skórce jego było wielkie, dlatego jego Bóg zabił, aby sio nie wywyższył i nie ujrzał tej tajemnicy, przez którą Bóg jest Bogiem - gdyby ją był znalazł, wtedy by nie było różnicy między człowiekiem a Allachem, który jest panem tajemnicy i zabija nią jak nożem,

Ucałował papirusy, potem je przytknął do czoła, jakby w ten sposób mądrość w nich zamkniętą chciał przelać w swój mózg.

- Usiądź, dostojny Panie, abyś uważnie mógł wysłuchać, wszystkiego, co ci powiem, albowiem ów tam o ścianę oparty i owity w chusty ma usta przez śmierć nienawistną na siedm zamknięte pieczęci, i sam mówić nie zdoła. Spojrzyj jednak pilnie, a kiedy lampa silniej zaświeci, ujrzysz, że twarz jego drga, a oczy śmieją się z niezmiernej radości, że się znalazł ktoś, co go pomści, i że się znalazł dobroczyńca, który mi do tego dopomógł. On cię wita przeze mnie w moim domu! Racz usiąść, Panie…

Harun, któremu wielkie jakieś morze szumiało w głowie, a ręce drżały, usiadł na niskiej sofie i czekał w milczeniu, patrząc zachłannie, co się dziać będzie. Widział, jak Atros podszedłszy do ogniska krzesać począł ogień i dmuchać począł pilnie, aby tchnąć życie w blade iskry, które zarumieniwszy się po chwili ognista krwią, czerwonymi zębami poczęły po chwili gryźć żarłocznie suche szczapy drzewne, głośno trzaskające; potem nad ogniem powiesił na łańcuchu żelazne naczynie, pełne jakiejś cieczy - czyniąc zaś to wszystko, szeptał dziwne wyrazy:

- Na siłę życia i siłę śmierci… strach tajemnicy, o Ptah!… siedmiu sił złych i siedmiu dobrych, aby się jasnym stało, co jest ciemne… aby się okrągłym stało to, co jest niekształtne… Spojrzyj wstecz, a ujrzysz śmierć, spojrzyj w przód, a. ujrzysz śmierć… Na zgubę zachodu i potęgę wschodu, i na radość wiosny… Oziris!

Kalif łowił uchem te słowa, lecz nie śmiał pytać o nic; długo czekał, zanim Atros, jakby sobie obecność jego przypomniał, zwrócił się ku niemu, ujął znowu w rękę papirusy i pochyliwszy eię nad kalifem, mówił głosem takim, jakby każde słowo wychodziło z grobu:

- Przez lat sto pisał ten człowiek, który tam śpi wiecznym snem, te słowa; w każdym z nich jest jego krew i jego pot, i taka męka, o jakiej nie wie nikt na świecie; kiedy zaś miał napisać słowo ostatnie, zabrakło mu siły, aby je wynalazł, chociaż z tysiąc nocy szukał go w ciemności, świecąc sobie sercem jak latarnią. Spojrzyj tu! Tu jest puste miejsce, podobne do bladości trupa, zaś dalej są znów znaki, które wyłożone mówią: „Śmierć idzie… niech ją zwycięży ten, który przyjdzie…”

- Co to znaczy? - zapytał cicho Raszyd.

Atros, jakby nie słysząc pytania, czytał dalej oczyma zaszłymi mgłą:

- „…Niech rzuci ojca i matkę, niech nie pije wina, niech nienawidzi wszystkiego na ziemi, aż do czasu, kiedy znajdzie to, czego szuka… A niech najbardziej strzeże się kobiety…”

- Czy nie ma kobiet w twoim domu? przerwał kalif.

- Czy nie słyszałeś, co powiedział umarły człowiek? Wiedz, że wielka myśl to jest bachmat, a kobieta to jest rzemień, który mu pęta nogi. Słuchałem jego nakazu i znalazłem to słowo, którego on nie znalazł!

Raszyd słuchał pilnie.

- Wiedziałem już wszystko, lecz spójrz, co tu napisał mędrzec:

„Weźmiesz dziesięć sztuk złota wedle tej miary, którą ci wyznaczyłem, i wrzuciwszy do tamtego, o czym już wiesz, wyrzekniesz trzy razy słowo, które już znasz…”

Wiedziałem już wszystko, lecz nie miałem złota, o dobroczyńco, jakkolwiek się zowiesz…

- Zowie się Mohammed - rzekł kalif.

- Niech imię twoje będzie błogosławione, synu sprawiedliwego o,)ca! Za chwilę bodziesz wiedział więcej niż siedm tysięcy mędrców.

To rzekłszy przystąpił do ogniska i dziwnym wzrokiem wpatrzył się w naczynie, ujęte ze wszech stron ogniem jak burzą; potem podniósłszy pokrywę, począł powoli i ostrożnie spuszczać w gotującą się ciecz jedną sztukę, złota po drugiej, z wielkim natężeniem uwagi to czyniąc, zaś po poruszeniu warg odgadnąć można było, że wymawia niedosłyszalnym szeptem owo zaklęte słowo, które mu wyrzec kazał umarły człowiek, oparty o ścianę.

Płomień buchnął żywiej, tak że bardzo krwistą łuną oblał twarz Atrosa, rozwiane zaś jogo włosy, umalowane błyskiem płomienia, zdawały się poruszać jak węże; oczy jego gorzały, stały się wielkie i patrzyły bez jednego drgnienia w ogień, jakby, do tego widoku przywykłe.

Raszyd, przypomniawszy ‘sobie słowa Atrosa, że w blasku ożywa zaschła twarz mumii, spojrzał na owitego w pożółkłe prześcieradła trupa i - zadrżał, ,ten bowiem jakby uśmiech miał na skrzepłej swojej twarzy, a oczy żywe tliły się czerwonym płomykiem, lekko drgającym; czuł Raszyd, że mu się włosy zjeżyły pod turbanem i że krew zlodowaciała mu w żyłach tak, że zastygł w przerażeniu. Blady był jak płótno i nie mógł odetchnąć.

- Dokonało się! - wyrzekł w tej chwili głośno Atros i podszedłszy do mumii, upadł przed nią na twarz i zdaje się, że się cicho modlił.

Kiedy się podniósł i stanął w kręgu lampy, wyglądał tak jak człowiek, co się zwlókł z łoża po ciężkiej chorobie, aby zobaczyć słońce, którego od wielu już nie widział dni, i ożyć nowym życiem. Pot wielkimi kroplami spływał mu z czoła, znacząc się wyraźnie na trupiej jego bladości, w której oczy płonęły jak dwie smolne żagwie; znać było, że jest bardzo wyczerpany, jak po niezmiernym wysiłku, bo słaniał się idąc. Usiadł ciężko naprzeciwko kalifa i uśmiechnął się takim uśmiechem, w którym jest wdzięczność, lecz mało jeszcze radości, tej bowiem zapomniała i widać było, że sobie z trudem przypomina w tej chwili, jak się twarz do radosnego składa uśmiechu. Począł mówić cichym głosem:

- Teraz ci powiem wszystko, Mohammedzie, zanim ostygnie ten płyn, któryś ty ozłocił.

- Mów! - szepnął Raszyd i głowę oparłszy o ścianę słuchał.

- Powiedz mi łaskawie, dostojny Panie, kto jest największym wrogiem człowieka?

Raszyd pomyślał chwile i rzekł:

- On sam…

- Odpowiedziałeś jak człowiek, który wiele myślał i wiele ma rozsądku; jednakże człowiek samego siebie nie zabija ze złości, lecz z bólu. Czy nie wiesz, kto jest większym jego wrogiem?

Znów myślał chwilę Raszyd i rzekł niepewnie:

- Kobieta…

- Wypowiedziałeś imię straszniejszego wroga, który wiele niszczy i wiele zadaje mąk, mając truciznę w duszy i na wargach; jednakże można uciec przed kobietą. Czy nie wiesz, jak się zowie wróg, przed którym nie uciecze człowiek i nie schowa się nigdzie?

- Śmierć! - rzekł trwożliwym szeptem Raszyd.

- Tak, śmierć! - powtórzył Atros głosem głuchym i skażonym nienawiścią.

- Śmierć - ozwał się cichy głos, aż się Raszyd wzdrygnął.

Spostrzegł to Atros.

- To nie on powiedział - rzekł, wskazując oczyma mumię - gdyż jest niemy. To było echo, nie można bowiem wyrzec strasznego tego słowa, aby nie oddźwiękło wśród nocy.

Obaj milczeli ważąc myśli, jakby zapatrzeni w to czarne słowo, które upadło im z warg, jak stoczony przez robaka owoc spada z gałęzi.

- Oto ów człowiek - mówił po chwili Atros - ów człowiek umarły postanowił zwyciężyć śmierć.

- Allach! - szepnął Raszyd.

- Poznał wszystko, co można było poznać, i nauczył się mądrości wszystkich narodów, które były od stworzenia świata. I wtedy znalazł jedno słowo, pojąwszy tajemnicę wody. Potem badał przez wiele lat tajemnicę życia roślin, zwierząt i kamieni, i znalazł drugie słowo. Kiedy zaś dwa te słowa złączył razem, wypatrywał nocami biegu gwiazd i tajemnicę księżyca, zaś we dnie tajemnicę słońca, i po wielu latach napisał na papirusie trzecie słowo, które było wielkie i straszne. Młodym wtedy był jeszcze i miał włos czarny, lecz zapisawszy to słowo, i to także zapisał, że pojąwszy je, osiwiał przez jedną noc, a szaleństwo przeszło obok jego głowy tak blisko, że czuł na twarzy gorący jego oddech.

- Allach! - szepnął Raszyd, zaś tamten mówił:

- Zrozumiał, że musi teraz pojąć tajemnicę ognia, i znalazł ją jednej nocy, paląc ognisko na pustyni. Zapisawszy czwarte słowo, zapisał i to także, że lęk od tej chwili chodzi za nim jak cień i trwoga tak straszna, jakiej nikt jeszcze nie zaznał. O Ptah! wielką jest tajemnica ognia…

W tym leku ciągłym żyjąc, począł szukać duszy rachunku i przez dwanaście lat rozmawiał z liczbą, wiele zapisując papirusów, aby przez straszliwy jej labirynt znaleźć drogę do tajemnicy śmierci. Kiedy zaś duszę rachunku znalazłszy, zapisał piąte słowo, było ono straszniejsze od szaleństwa i czerwieńsze od krwi. Oto spójrz… W tym miejscu zapisane jest to słowo, które ma twarz złą, a tak piękną, że oczu od niej oderwać nie można i nie można się w nią wpatrywać zbyt długo jak w słońce; że on zaś o tym nie wiedział, spójrz, co dopisał obok: „znalazłszy tajemnicę liczby, oślepłem i nie widzę nic, choć oczy moje są otwarte.”

Raszyd spojrzał trwożliwie na mumię i ujrzał jej oczy dziwne, teraz już zagasłe, i dreszcz po nim przeszedł. Atros odwijając papirus mówił dalej:

- Oto to jest szóste słowo i ostatnie, a oznacza tajemnicę ziemi. On ją pojął i zapisał, lecz trzeba było słów siedmiu.

- Co miało oznaczać słowo siódme?

- Najstraszniejsze miało być i miało oznaczać tajemnicę świata, w który odchodzą umarli. Stary ów człowiek wchodził do grobowców i budził umarłych, aby mówić z nimi, lecz nikt mu nie odpowiedział i nie znalazłszy siódmego słowa, umarł. A ja je znalazłem!

Harun wpatrzył się w niego obłąkanym wzrokiem i wstrzymał oddech w piersi.

- Czy mówiłeś z człowiekiem umarłym?

- Jako mówię z tobą.

- Z kim?

- Z nim właśnie! - rzekł cicho Atros i skłonił ze czcią głowę, zwróciwszy się w stronę mumii.

Kalif drżał tak, jak liść osiki podczas burzy, i czuł, że trwoga większa niźli ta, którą czuje człowiek w chwili śmierci, patrzy mu w oczy i szuka jego serca; czuł jej lodowatą dłoń i czuł wyraźnie, jak mu serce wyjmuje z piersi i wynosi gdzieś na noc i mrok.

- To nie jest człowiek - pomyślał z wielkim wysiłkiem myśli - to jest szejtan…

Ów zaś w pustkę patrząc, wymawiał dziwne słowa, każde zaś przybierało na blasku, jak kiedy poseł, co radosną przyniósł wiadomość, mówi najpierw słowa wielkie, lecz bezładne, tak splątane ze sobą, jak jelenie rogami, później dopiero, dokładnie opisując zwycięstwo, do każdego swego słowa przykłada pochodnię i płomień wspomnienia i każde to słowo słonecznym obleka blaskiem, że się jemu i słuchaczom w oczach czyni jasno.

- Jam jest ten, który zwyciężył śmierć. Jam jest ten, który życie może rozdzielać jak Allach. Cóż on może uczynić więcej? Nie ja go się tedy lękam, lecz on w tej chwili drży przede mną i mówi: „Proroku! czemu nie zabiłem tego człowieka, zanim się jeszcze urodził?" Wiesz zaś ty, dlaczegom życie moje na to poświęcił i nie zaznał rozkoszy, tylko trud i mękę? Widziałżeś kiedy przykutego do galery niewolnika, z którym inny jest związany łańcuchem, a niewolnik ten uderza o burtę głową i zabija się, aby inny mógł ujść, nogę mu oddawszy? Z zemsty to uczyniłem, albowiem wszystko, co żyje, w mocy jest Allachowej i drży przed nim, bowiem on na ziemię posłał śmierć, która jest nadzorcą niewolników, a kiedy uderzy biczem, człowiek umiera. Akbar Allach! - wołał - poślij teraz do mego domu śmierć, a ja ją przyjmę śmiechem jak kulawego psa albo jak węża, któremu rozum mój wyrwał zęby…

Podniósł się mówiąc te obelżywe słowa i patrzył w pułap, zaś na twarzy miał niezmierną nienawiść, lecz równocześnie piękność tak wielką, że kalif patrzył na niego ze zdumionym podziwem.

- Szejtan! - szepnął po raz drugi.

Atros mówił:

- W naczyniu tym jest trud wielu mędrców, mędrszych niż król żydowski Salomon, krew wielu serc i nienawiść wielu dusz, lecz większych tam nie ma serc i większych nienawiści niźli moja i jego, co mi nie może błogosławić, bo ręce ma śmiertelnie sztywne. Z tego naczynia pić będą teraz wszyscy ludzie i nikt już nie umrze, chyba że sam sobie śmierć zada. Ty zaś, Mohammedzie, za to, żeś mi dał złoto, którego czerwonej krwi było mi potrzeba, napijesz się pierwszy, abyś żył wieczyście…

Rzekłszy to, zdjął naczynie z łańcucha i niosąc je tak ostrożnie, jak gdyby niósł w dłoniach własne serce, z którego krew się wylać może - postawił je na ziemi i odkrył pokrywę. Mgła, podobna do oparu krwi, podniosła się w górę i rozlała na komnatę woń tak świeżą, jak woń wiosny, jak wiew z gór albo zapach morza; Atros wciągnął ją w nozdrza z lubością i szepnął:

- Czy czujesz, jak pachnie życie?

Kalifa przyprawiła woń ta o zawrót głowy, wnet jednak spojrzał jaśniej i poczuł, jak fala krwi napływa mu pędem do serca, zaś w ciało całe napływa krzepkość i siła. Jasno już wtedy widział, jak Atros, wyjąwszy srebrny kubek ze skrzyni; nalał w niego kilka kropel straszliwego płynu, czerwonego jak krew, i wyciągnąwszy rękę, rzekł łaskawie jak sułtan, co niezmierną łaską obdarza zbrodniarza:

- Weźmij to i pij!

Kalif nie drgnął, lecz się przenikliwie wpatrzył w jego oczy.

- Pozwól - rzekł - że ci powiem cokolwiek, zanim przyjmę ten bezcenny dar.

- Mów! - odpowiedział Atros i postawił kubek

- Atrosie - mówił kalif - rzecz, którą uczyniłeś, jest straszliwą…

- Wiem o tym, czemu marnujesz słowa?

- Powiedz mi: człowiek tedy, w którego żyły wejdzie ten napój, będzie żył wieczyście?

- Będzie żył wieczyście… tak będzie!

- I będzie wielbił ciebie, jak ja cię teraz wielbię. Powiedz mi jednak, czy sam tylko znasz tajemnicę, wedle której napój się ten przyrządza?

- Dwóch ją zna, ja i ten umarły.

- Ty jednak umrzeć nie możesz?

- Rzekłeś! ja nie umrę.

- A on nie zmartwychwstanie?

- Pytanie twoje jest smutne; czemu mi ranisz serce? Ten człowiek nie zmartwychwstanie, śmierć i tygrys nie oddają łupu.

- Czy na tym papirusie spisana jest ta największa z tajemnic?

- Jak widzisz, lecz nikt jej nie odczyta, zaś siódme słowo i najważniejsze napisałem na korze mego serca, tego zaś też nikt nie odczyta. Czy jeszcze masz mi co do powiedzenia?

Kalif miał twarz bladą i wielką pomiędzy oczyma zmarszczkę, która oznacza cierpienie.

- Nie powiedziałem ci jeszcze rzeczy najważniejszej. Wiedz, że zanim ciebie spotkałem przy moście, widziałem przedtem człowieka, który konał z głodu… Czy napój ten nakarmi człowieka na długie życie?

- Czyż ci to mało,, że człowiek będzie żył tak długo, jak długo zechce?

- Przeto sprawisz, że człowiek nie będzie cierpiał przez niewiele lat, lecz przez tysiąc?

- Musi tak być na ziemi, że ktoś cierpi… Czemu cię niepokoi mała rzecz wobec wielkiej? Czy może co jeszcze widziałeś, co cię wzruszyło? Oh!

- Widziałem cierpienie i twarz pełną boleści. Potem widziałem, jak się mędrzec jeden rzucił do rzeki, aby nie cierpieć. Ten uciekł przed życiem…

- A jednak na klęczkach błagać mnie będzie o kroplę tego napoju i Harun ar Raszyd, i trędowaty żebrak.

- Szejtan! - pomyślał po raz trzeci kalif, głośno zaś rzekł:

- Wymyśliłeś rzecz straszną, Atrosie, i Allach cię za to pokarze…

- Czym? Śmiercią?

- Może tak być, że będziesz błagał na klęczkach, aby cię ktoś zabił z łaski.

Atros zbudził w oczach dwie błyskawice i rzekł groźnie:

- Dałeś mi dziesięć sztuk złota, a ja ci oddaję tysiąc razy po tysiąc. Czego chcesz więcej?

- Abyś mi powiedział, czy ludzie, długo żyjąc, będą cierpieli mniej?

- Nie wiem!

- A ja ci mówię, że będą cierpieli stokroć więcej, a śmierć ich nic przyjdzie wybawić.

To też ci mówić, żeś popełnił zbrodnię.

- Precz! - krzyknął Atros.

Harun pochylił się nad nim śmiertelnie blady, zaś prawą ręką ściskał głownię kindżału i mówił szeptem zimnym i ostrym jak nóż:

- Mówię tobie, że nikt nie będzie pił twojego napoju.

Na dźwięk tego głosu Atros zadrżał.

- Precz!… kto ty, co.. precz! precz!

W tej chwili Harun ar Raszyd, ruchem szybkim jak myśl utopił kindżał w sercu Atrosa, zanim tamten miał czas chwycić ten ruch oczyma; rozłożył tylko ręce, wyrzucił z ust jakieś słowo, które oniemiało w tej samej chwili, bowiem je krew zalała, i drgnąwszy w straszliwym skurczu, zwalił się na ziemię.

Harun ar Raszyd stał blady z okrwawionym w ręku nożem i ciężko dyszał; zaś po chwili wstrząsnął się od zimna, cisnął kindżał i straszliwie już spokojny ujął w ręce żelazna naczynie i wylał wszystek z niego płyn, który czerwoną strugą polał się po ziemi. Polem wziął papirus i zbliżywszy się do ognia, palił go powoli i długo,, aż się ostatni silił szczątek.

- W tej chwili usłyszał głos tak straszny, że w nim dusza zamarła; lodowaty lęk ujął jego głowę w ręce i odwrócił ją tak, iż Harun ar Raszyd mógł ujrzeć, jak oparta o ścianę mumia osunąwszy się upadła, rozsypując się w proch.

Kalif uchodził; kiedy zaś mijał trupa Atrosa, pomyślał po raz czwarty:

- Był to duch zły i straszny. Zabiłem szejtana…

I wyszedł na powietrze, w którym latały już pierwsze słoneczne promienie. Zamknął starannie wrota i zdążał przez uliczki pełne rozgwaru, im zaś był dalej od straszliwego tego domu, tym jaśniej mu było na duszy, kiedy zaś stanął na dziedzińcu swojego „pałacu, był już tak promienny jak słońce. Ujrzawszy zaś, że rzezańcy cucą przy fontannie pryskaniem wody owe dziewice, które był dał posłom Karola Wielkiego, gdyż były omdlałe z nadmiernego zmoczenia, kazał im posłać inne, albowiem dnia tego był niezmiernie łaskaw kalif Harun ar Raszyd, nazwany Sprawiedliwym.

HASSAN I JEGO PIĘĆ ŻON

Siedział sobie w brudnej kawiarni Abd ul Moshed i pił kawę z brudnej filiżanki; ile zaś razy uśmiech przebiegł mu po twarzy, tyle razy ów szanowny podnosił rękę powoli i dostojnie i gładził srebrzystą już brodę, ozdobę męża. Potem myślał głęboko nad tym, dlaczego tragarz, któremu z wysiłku żyły nabrzmiały na skroniach, niesie na plecach olbrzymi wór, a nie on to czyni, chociaż od trzech tragarzy jest silniejszy? I znowu się uśmiechnął Abd ul Moshed, pogładził brodę i był kontent wielce, rozumiejąc, że Allach dobrze rozdzielił wszystko między ludzi i sprawiedliwie, gdyby bowiem wszystkim było dobrze, nikt by się nie modlił o poprawo losu. Mniemał też, że i on dźwiga ciężar, wielki swój rozum mianowicie, który mu spać nie daje, budzi go bowiem często o północy mówiąc:

- Abd ul Moshedzie! obudź się i pomyśl, dlaczego są dromadery z jednym garbem, są ci zaś inne wielbłądy, dwa garby mające?

Tedy przewracał się na łożu aż do świtu, rozmyślając potężnie i klnąc swój wielki rozum, który na całą dzielnicę był słynny i przez wszelką wielbiony hołotę, gdyż zwykło pod wieczór przychodził ktoś do niego, szewc albo zgoła piekarz, i uderzywszy mu czołem, tak oto skomlił:

- Mądry jesteś, Abd ul Moshedzie, jako ten wielbłąd, co drogi nie widząc w pustyni, przecie do oazy trafi; poradź mi tedy, gdyż troska dręczy moją duszę!

Odpowiadał wtedy mąż ten dostojny:

- Powiedz mi wszystko, nie twoja bowiem to jest wina, że cię Bóg stworzył głupim i szewcem do tego.

I wcale się nie pysznił Abd ul Moshed, lecz słuchał narzekań cierpliwie i długo, oczy przymknąwszy, nie tak jednak, aby nie baczyć, czy ów człowiek nieszczęśliwy nie ukradnie mu w rozterce pantofli lub filiżanki, w której oprawie złote wiły się żyłki. Wysłuchawszy zaś, mówił:

- Troska twoja stąd pochodzi, że myślisz o nic.]. Szewcem jesteś, lecz nieszczęście tu nie jest pantofel z safianu, abyś w me patrzył cały dzień. Odejdź teraz, a idąc do domu śmiej się w głos, o tym tylko myśląc, aby śmiech twój wszyscy słyszeli, jeśliby to zaś nie pomogło, powróć jutro.

Biegł tedy szewc przez ulicę i śmiał się tak, że ludzie wybiegali z domów, a psy uciekały wyjąc, nazajutrz zaś wracał smutny skarżąc się, że nic nie pomogło, i tak było przez wiele dni, aż go kawas, mocno chwyciwszy za kołnierz, powiódł do domu wariatów. Tam ci

zaś poznał, że jest szczęśliwy, wszystkie bowiem jego smutki wstawały za sprawą żony, która jędzą była. I błogosławił ów szewc swego dobroczyńcę.

Rosła jednak przez to sława Abd ul Mosheda, a on trapił się tą wielką swoją sławą, która mu wiele przysparzała zgryzot, mówił tedy, że sława jest jako zła niewiasta, co nad uchem stanąwszy, uporczywie gada, jeśli zaś przed nią w grób ucieczesz, spać ci nie daje w grobie.

W tej chwili jednakże czul niezmierna błogość, jak gdyby był w łaźni, i począł rozmyślać właśnie nad tym, dlaczego mucha potrafi chodzić po pułapie, a człowiek tego uczynić nie może - kiedy stanął przed nim jego wielki przyjaciel Hassan, człowiek wielce popędliwy i poważnie myśleć nie umiejący. Bardzo był wzburzony i ciężko dyszał, gdyż zdołał rzec te tylko słowa:

- Bóg jest jeden!

Spojrzał na niego spokojnie Abd ul Moshed i rzekł:

- Czy niczego nowszego się nie dowiedziałeś?

Zdumiał się Hassan, a usiadłszy na nogach, kiwał się przez czas dłuższy w przód i w tył, zanim począł mówić:

- Szukałem ciebie, Moshedzie, najpierw w twoim domu…

- Nie zawsze człowiek jest w domu… przerwał mu Moshed.

- Słusznie rzekłeś, lecz potem szukałem ciebie w łaźni, potem w bazarze, potem w meczecie, i nigdzie ciebie nie znalazłem…

Uśmiechnął się z politowaniem mądry Abd ul Moshed i rzekł łaskawie:

- Gdyby cię był Allach obdarzył dowcipem, byłbyś wpadł na to od razu, nigdzie nie chodząc, że jeśli jestem, w kawiarni, tedy nie jestem ani w domu, ani w łaźni, ani w meczecie, ani ‘w bazarze, i byłbyś mnie tu spotkał.

Spojrzał na niego najpierw zdumiony, potem z niezmiernym uwielbieniem popędliwy Hassan i cmoknął ustami na znak podziwu, zaś Moshed przymknął na chwilę oczy, z własnej mądrości rad wielce. Potem spytał:

- Cóż cię gnało, Hassanie, synu Mustafy, bez uwagi na to, źc ten, co się spieszy, zawsze się spóźnia?

Wtedy Hassan załamał ręce i głos ściszy wszy, szeptał:

- Przyszedłem do ciebie po radę, o najmędrszy, albowiem wielkie mi się stało nieszczęście.

- Nieszczęście nigdy nic jest wielkie, jeśli można znaleźć na nie radę - rzekł Moshed lez powiedz, co się wydarzyło? Czy zdechł ci koń, czy ci też kto ukradł osła?

Rozglądnął się wkoło jego przyjaciel bacząc, czy nikt nie słucha, potem rzecze:

- Aż tak wielkie nieszczęście moje nie jest, lecz niemal równie straszne. Zdradziła mnie Jedna z moich żon, a ja nie wiem, która!

Moshed spojrzał na niego z politowaniem, pokiwał dostojnie głową, uśmiechnął się dziewięć razy, potem pogładził brodę.

- Czy bolał cię kiedy ząb, Hassanie? - zapytał.

- Czemu pytasz tak dziwnie? Bolał mnie ząb.

- Czy ci to nie było wszystko jedno, który cię holi?

- Zaiste, lecz cóż ma jedno z drugim?

I począł się bardzo srożyć myśląc, że z niego kpi mądry Abd ul Moshed; ten jednak zamyślił się głęboko, spytał potem:

- Skąd o tym wiesz?

- Widziałem - odrzekł Hassan - młodego człowieka wychodzącego z komnat moich żon, ujrzawszy zaś mnie, począł .szybko uciekać.

- To bardzo źle!

Hassan spojrzał niespokojnie.

- Jeśliby cię bowiem był chwycił za brodę i pobił po głowie lub gdyby ci był powiedział na przykład, że jesteś złodziejem i oszustem, znak by to był, że żony twoje są stare i bezzębne, a on u nich szczęścia nie. zaznał ponieważ zaś uciekł, znak to jest, że pragnie powrócić.

- Nieszczęście! nieszczęście! - jęczał Hassan.

- Ile masz żon, synu Mustafy?

- Pięć tylko, gdyż rok był ciężki, a trzy wielbłądy zdechły mi na zarazę.

- Czy często bijesz .swoje żony?

- Raz dziennie zaledwie, czasu bowiem mam mało - czy źle czynię, Abd ul Moshedzie?

- Nie powiedziałem tego, ale mniemam, że lepiej jest rzadziej a mocniej, niż często a źle, przyzwyczaiwszy się bowiem, mało sobie czynią z bambusa, co sprawia, iż tyją zbytnio i skłonne są do złych rzeczy.

- On! oh! - biadał Hassan.

- I jeszcze mi jedno powiedz. Czy wychodząc tego dnia z domu powiedziałeś, kiedy powrócisz?

- I owszem, powiedziałem, że powrócę za chwilę, mówiłem zaś tak umyślnie, aby się bały, uwierzywszy.

Uśmiechnął się dobrotliwie stary Abd ul Moshed i rzekł słodko:

- Głupi jesteś, przyjacielu mój, zgoła jak kulawy struś. Czy nie wiesz, że kobieta rozumie wszelką mowę odwrotnie i jedna jest na chytrość jej rada:, prawdę mówić zawsze, gdyż się w niej nie rozezna, a przekładając ją na swój język, źle na tym wyjdzie i w potrzask wpadnie. Niebezpieczne to jest jednak, gdyż rady sobie ze sposobom tym dać nie mogąc, łacno może oszaleć i postradać zmysły. Aleś ty źle bardzo uczynił, bracie Hassanie, i czegóż teraz .chcesz? Abym ci winną wynalazł?

Czy ja jestem kawas, czy ja jestem kadi? Czy ,ja zresztą wszystko wiem? Wiem, że baran, to jest baran, i że ja, to jestem ja. Ale czy ja wiem, co jest pod ziemią i co jest na dnie morza? Czy ja wiem, co jest w kobiecie i czemu ciebie zdradziła?

- Ty wszystko wiesz! - rzekł Hassan.

- A otóż to jest nieprawda. Był jeden wielki uczony w Bagdadzie, co miał tylko dwie żony; wiedział, ile jest na niebie gwiazd i kiedy będzie padał deszcz, wiedział, jak ‘wytoczyć dżumę, a taki był mądry, że mu kalif podarował raz nawet starego konia; a przecież ton wielki człowiek umarł ze zgryzoty, bo nie mógł dojść, czemu jedna żona, dla której był zły, całowała mu nogi, a ta, dla której był dobry, umierając powiedziała, że mogła jeszcze wcale nie umrzeć, a umiera tylko jemu na złość? Czy słyszysz, Hassanie, synu Mustafy?

Dziwił się bardzo Haasan i kiwać się począł gwałtownie, przez co nieszczęście jego stało się jeszcze większe; patrzył tedy miłośnie na dostojnego mędrca, chcąc go wzruszyć i znaleźć u niego radę. Wzruszył się też Moshed, albowiem ‘był miękkiego serca, jak każdy człowiek, który się cieszy, że nie jego właśnie dotknęło nieszczęście, lecz jego przyjaciela, i dlatego wielka litość, jak różana woda, napływa mu w serce.

- Przyjacielu! - rzekł wreszcie słodko uczyń, co uczynił ów mędrzec z Bagdadu, powieś się.

Spojrzał na niego Hassan jak przez mgłę, zatrzęsła mu się broda, potem się piersi wydęły jak żagiel, gdyż począł płakać gorzko, a łzy poczęły mu się sączyć po brodzie, zupełnie jak kryształowe krople rosy po jedwabiu róż się sączą. A ile razy spadła sieroca łza z brody Hassana, tyle razy pomyślał Abd ul Moshed:

- Kropla wydrąża skałę, jakżeż nie ma wydrążyć mojego serca? - Głośno zaś wyrzekł z wielkim wyrzutem zdanie głębokie, jak gdyby z Koranu wyjęte:

- Mężczyzna nigdy płakać nie powinien, chyba że ma powód ku temu.

Drgnął Hassan, jak człowiek, którym śmierć

zatrzęsła, albo jak derwisz tańczący, kiedy nim nabożna podrzuci epilepsja, podniósł ku niebu załzawione oczy, bokiem patrząc zgoła jak kur, co jastrzębia wygląda, i rzekł cicho, lecz niezmiernie smutno:

- Bacz, by cię Allach nie pokarał, gdyż się bardzo ze mnie naigrawasz. Czyż nic jest to powodem, że mnie zdradziła żona moja, może ta właśnie, którą nazywałem lilią nierozkwitłą, karmiłem daktylami jak szlachetną klacz, którą często, pod brodę łaskawie ująwszy, najpiękniejszymi pieściłem słowami, że aż ciężko wzdychać poczęła z rozkoszy? Czyż to ci mało jeszcze, Abd ul Moshedzie, który masz rozum większy od innych, lecz serca nie masz i jako eunuch jesteś nieczuły?

I nagle, jakby zmysły postradał, porwał się z siedzenia i chwyciwszy w obie ręce chudego dryblasa, co kawę roznosił i węgle do fajek, począł głową jego tłuc o najbliższą ścianę, i byłby ścianę rozwalił, gdyż ci ów dobry sługa głowę miał twardą i dziwnie kanciastą, lecz Hassan, jakby nagle z sił opadł, zatoczył się na dawne miejsce i usiadłszy na nogach, jedno tylko wykrztusił słowo:

- Ulżyło mi! - rzekł i zamarł w nieruchomości.

Dryblas, na głowie i czci uszkodzeń, ryczeć począł bardzo przeraźliwie, jak gdyby połknął gorejący węgiel, i kląć począł Hassana, ale nie wprost, jak to zwykł czynić człowiek ordynarny, lecz wkoło jego osobę obchodząc; przeklął więc najpierw pamięć matki jego matki, potem ojca jego ojca do .siódmego pokolenia, potem, dźwięcznych używając słów, życzył trądu jego siostrom, a czarnej ospy braciom jego, wujom i stryjom, zasię wszystkim dalszym krewnym życzył z głębi serca połamania wszystkich nóg i wszystkich rąk; kiedy zaś całą wytracił familię, wprost rzekł Hassanowi, synowi Mustafy:

- Obyś wszystkie postradał zęby, a skóra niech z ciebie odleci kawałkami, niech ci lewe oko wypłynie, a żona twoja niech ci wybije prawe. Obyś konał tyle lat, ile dni musi iść człowiek kulawy stąd do Mekki, a wszelkie jadło niech ci się zmieni w wielbłądzi nawóz, złoczyńco i podły człowieku, psie parszywy, synu Mustafy, który był wieprzem, co spłodził szakala. O! o! o!

- Zdaje mi się, że źle ci życzy ten człowiek! - zauważył Abd ul Moshed, pilnie słuchając. - Ja ci jednakże życzę dobrze i żal mi jest ciebie, pójdę więc z tobą, aby wśród żon twoich wynaleźć winną.

Ożył Hassan i oczy drgać mu poczęły z radości, porwał się tedy czym prędzej, aby nasycić zemstę, słodszą od najsłodszych bakalij, i gotów był do drogi. Z niechęcią zauważył ten pośpiech Abd ul Moshed, mniemał tedy, że słusznie będzie, jeśli rzeknie:

- Sprawiedliwość jest to osoba kulawa, więc się nic spieszy; nosi czarczaf na oczach, więc nie może biec szybko jak spłoszony osioł; dźwiga ciężki miecz, a to jej w pośpiechu przeszkadza - czemuż więc ty się spieszysz?

Czy widziałeś, aby się chory człowiek spieszył na swój pogrzeb, albo żeby się baran spieszył do rzeźnika? Kiedy się, poczciwy Hassanie, nauczysz sztuki życia?

Uspokoił się tedy Hassan, syn Mustafy, ale pozornie tylko, gdyż wewnątrz gorący był jak pilaw, niebiańska potrawa ze stęchłego ryżu i ze zdechłej kury, i niespokojny był w duszy]ak człowiek, który ma przysiąc przed kadim, że nigdy niczego nie ukradł. Czekał więc niecierpliwie i patrzył, jak Abd ul Moshed wstał powoli i z godnością, chociaż niechętnie, jak potem szukał długo i wydobywszy prawdziwy pieniądz, rzekł do gospodarza kawiarni:

- Oto jest twoja zapłata, lecz przyjrzyj się dobrze, zdaje mi się bowiem, że pieniądz ten jest fałszywy.

Kawiarz spojrzał szybko, wiedząc zaś, że Abd ul Moshed nigdy się nie myli, rzekł na wszelki wypadek:

- W istocie, nie podoba mi się ten pieniądz, daj mi inny.

Wtedy Abd ul Moshed znów począł szukać długo i dał mu inny pieniądz, ale ten już był zupełnie fałszywy, kawiarz zaś byłby przysiągł, że prawdziwszego nie oglądał w życiu.

Mówił potem na ten temat Abd ul Moshed:

- Ty jesteś właścicielem kawiarni, a kobieta jest fałszywą monetą. A teraz przyprowadź mi mojego osła; poznasz go po tym, że jest biały, jeśliby zaś za domem stały dwa białe osły, ten jest mój, który jest bardzo zamyślony i je cudzy obrok, odpędziwszy towarzyszów. Mądre to jest zwierzę, albowiem nosi mnie już lat dwadzieścia i wiele już rzeczy przemyśleliśmy razem.

Pobiegł szybko Hassan i przywiódł białe, dostojne bydlę z porwaną uprzężą, albowiem i wielcy ludzie, i wielkie osły to mają wspólne, że nie dbają o strój. Osioł, pana swojego ujrzawszy, ryknął przeraźliwie na znak głębokiej radości i wierzgnął parę razy jakby na znak, że gotów jest za niego oddać życie. Dziwił się bardzo Hassan i iść począł obok osła, na którym siedział już Abd ul Moshed, nogami niemal dotykając ziemi, bardzo zamyślony.

- Stój! - zawołał nagle - Abd ul Moshedzie, twój osioł idzie w przeciwną stronę, każ mu się zwrócić ku mojemu domowi.

Abd ul Moshed zbudził się z zadumy i rzekł niechętnie:

- Nie może być inaczej. Osioł mój przez lat dwadzieścia dźwiga mnie z domu do kawiarni i z kawiarni do domu i za żadną cenę w inną nie pójdzie stronę; pojadę tedy aż do

drzwi mojego domu, tam go zawrócę i wtedy dopiero łatwo będę się mógł udać na nim do ciebie.

Hassan wpadł w rozpacz i począł targać brodę, życząc bydlęciu temu śmierci w nie sławie, nic mógł jednak nic poradzić na to, więc płacząc na poły, prosił Abd ul Mosheda, aby używszy pięt, przynaglił osła do szybszego biegu. W tej jednak właśnie chwili osioł przystanął nagle na środku drogi i opuściwszy uszy, znieruchomiał.

- Bismillach! - jąknął Hassan - co mu się stało?

Abd ul Moshed otworzył oczy, które przymknął słodko przed chwilą, i rzekł:

- Albo sobie coś przypomniał i za chwilę ruszy szybko jak błyskawica, albo też nie opodal we drzwiach swojego sklepu stoi piekarz, którego widoku mój osioł nie znosi. Oto tam zły ten człowiek stoi w istocie na progu, krzyknij więc na niego, aby się ukrył.

Hassan podjął kamień z ziemi i krzyknął gromko:

- Schowaj się, synu wieprza, albo ci głowę rozwalę kamieniem. Szlachetne to zwierzę nie znosi widoku plugawego twego oblicza, gdyż jest mądre i nie cierpi złodzieja, co oszukuje na wadze mąki.

Znikł w tejże chwili w jamie drzwi ów piekarz, jak placek owsiany ginie w czeluści szeroko rozwartej gęby zgłodniałego wojownika, zaś Abd ul Moshed uśmiechnąwszy się, takie wypowiedział słowo:

- Roztropnie uczyniłeś i dzięki ci składam, żeś mojego osła szlachetnym nazwał zwierzęciem; zdaje mi się, że już z mniejszą niźli przedtem patrzy na ciebie pogardą i szybciej stąpa. Błagaj teraz Allacha, by zmrok nie zapadł i by się z minaretu nie odezwał muezin, albowiem osioł znowu przystanie, tę bowiem ma namiętność, że lubi śpiew i lubi go słuchać w skupieniu.

Daleko jednak było jeszcze do wieczora, wice się tego nie obawiał nieszczęsny Hassan, na którego dwa się sprzysięgły osły: los i osioł Abd ul Mosheda - dreptał tedy w milczeniu, wpatrzony w białe bydle jak w zmorę, tysiąca mu życząc chorób, lecz chytrze i obłudnie cmokał od czasu do czasu ustami, niby się dziwiąc wielkiemu rozumowi zwierzęcia i w głos je sławiąc.

Równocześnie rozmyślał o swoim okropnym nieszczęściu, a złość go pędziła naprzód, jak krzykliwy pastuch w czerwonym turbanie gna biczem leniwego wołu; ile razy zaś pomyślał o haniebnej zdradzie jednej z pięciu żon, podrywał się nagle jak senny kawas, co nagle w dali ujrzał mordercę dwudziestu sześciu kobiet i czterdziestu siedmiu dzieci i gonić go poczyna zdyszany; biegł tak naprzód i wyprzedzał obu mędrców, z których jeden jechał na drugim, zanim go nie zawrócił dostojny głos Abd ul Mosheda wołającego:

- Powróć, Hassanie, albowiem zgubiłeś pantofel!

Wracał więc zziajany jak pies, co stracił wiatr, i bardzo złością zmęczony zawodzić zaczął nad swoją dolą i skomleć; potem się z wielką goryczą zwrócił do mędrca i rzecze:

- Możeż to być, Moshedzie, aby nie było na świecie wiernej żony?

- Zapytaj o to mojego osła - odrzekł mu Moshed - tyle wiem o tym, co i on.

- Powiedz mi jednak, abyś mnie pocieszył…

Abd ul Moshed zamyślił się głęboko nad odpowiedzią, co zwykł czynić zawsze, nawet wtedy, kiedy go pytano, jak się nazywa, aby niczego lekce nic wyrzec, potem mówił:

- Są na świecie wierne żony…

- Ooch! - cmoknął Hassan jak derwisz, co ujrzał otwarte niebo, albo jak skazaniec, któremu ostatnią dano plagę w pięty. - Ooch! lecz jak je wynaleźć?

A Moshed spojrzał na niego litościwie z wysokości osła i rzecze:

- Czy umiałbyś wynaleźć w nadmorskim piasku ziarnko maku?

- Hę? - zdumiał się Hassan.

- Tak też jest trudno znaleźć perłę wśród niewiast… Tak to jest - ciągnął Moshed w niebo patrząc - jednego ukarał Allach chorobą oczu, drugiego świerzbem skóry, trzeciego chorobą zębów, innego chorobą serca, rozdzielając między wszystkich sprawiedliwie i znośnie, zaś na którego się zawziął, temu dał wielkie zdrowie, jako tobie Hassanie, i pięć żon, jako tobie Hassanie. Czemu nie byłeś uczciwy i pobożny i czemu nic poszedłeś do Mekki, garść daktylów wziąwszy w zanadrze? Opowiadał mi pewien człowiek święty, że miał dwanaście żon i życie miał bardzo ciężkie, postanowił wtedy przebłagać Boga i co rok odbywał pielgrzymkę; ile zaś razy z niej powrócił, tyle razy o jedną mniej miał żonę, bowiem zawsze któraś umarła. Tak to Allach nagrodził pobożnego, który potem świętym został, albowiem z nadludzkiej radości postradał zmysły i wielki tym zyskał u ludzi szacunek.

Raz jeszcze ci jednakże powtarzam, że są na ziemi kobiety dobre, wierne i wielce szanowne, te jednak cnót się swoich wstydzą, mniemając dziwnie, że będą wyśmiane, jako że się niby ponad inne wynoszą. Z tych jedne niecne stroją miny, cnotliwymi będąc w tajemnicy, inne zasię - jako owce, co wszystkie w wodę lezą, dlatego że dwie przedtem wlazły - czym prędzej pragną stać się niewiernymi. Niewiasta bowiem nie wtedy jest dumna, kiedy jest inna niż wszystkie, lecz wtedy dumną niepomiernie być poczyna, kiedy jest do wszystkich podobna. Dziwne to jest bardzo i jest to rzecz głęboka, o czym wiedzieć nie możesz, gdyż głowę masz nieco tępą i nigdy nie myślałeś o tym długo; mógłbym ci o tym wiele jeszcze powiedzieć, lecz się mój osioł już bardzo niepokoi czując dom. Blisko już jesteśmy, co poznaję po stęchłej nieco woni, niedawno bowiem temu, Hassanie, wrzuciłem zdechłego kota

do cysterny, aby się odzwyczaić od picia wody. Czy nie uważasz, że jest to pomysł dobry, choć wiem, że ciężko ci to będzie zrozumieć, jesteś bowiem niepomiarkowany w jedzeniu i piciu…

*

Noc już była, kiedy Abd ul Moshed, na białym swoim rozumnym ośle siedząc, zdążał do domu Hassana, który obok stąpał szybko wielce zamyślony. Dwa razy też musiał mędrzec zadać mu pytanie, zanim tamten z bolesnej obudził się zadumy.

- Prości ludzie i zwierzęta - mówił Moshed - umieją wróżyć o pogodzie, jakże tedy mniemasz, Hassanie, czy dzień będzie jutro pogodny?

Hassan spojrzał w niebo i ujrzał tysiąc gwiazd na wielkim, jak granat czarnym płaszczu Allacha.

- Sądzę, że dzień będzie pogodny; czemu o to pytasz?

- Chcę - rzekł Moshed - żeby Allach widział, jak w jego imieniu uczynię sprawiedliwość, nie mógłby zaś tego ujrzeć przez chmury.

Zdążali potem długi czas w wielkim milczeniu, znać było bowiem, że Moshed nad czymś rozmyśla, co musi być trudne do rozwikłania, gdyż oczy nawet przymknął, z czego skorzystał Hassan i potajemnie kopnął białego osła, chcąc go do szybszego przynaglić biegu. Zrozumiał jednak wkrótce, że nic nie zdoła szlachetnemu temu zwierzęciu przemówić do rozumu, więc szedł dalej, na wszystko gotowy; dopiero kiedy poznał, że dom jego jest już blisko, szepnął:

- Abd ul Moshedzie, przestań rozmyślać i popatrz przed siebie, abyś nic uderzył głową o bramę, która jest niska.

Pochylił się szybko Moshed i stał się mały, zaś Hassan pobiegł otwierać wrota i stał przy nich w wielkim poszanowaniu, jakby sam kalif wjeżdżał do jego domu na białym rumaku, karmionym delikatnego smaku daktylami. Kiedy zaś już wjechał na dziedziniec, pomógł mu Hassan zsiąść z osła, którego Moshed uwiązał u słupa, i tajemnie mu kilka powiedziawszy słów, rzekł:

- Wprowadź mnie do swojego domu, Hassanie!

- Bądź w nim pozdrowiony! - rzekł ten i wprowadził dostojnego gościa do komnaty, w której zawieszona u pułapu lampa oddychała ciężko jak konający handlarz oliwy i wydawała woń nie tak przykrą, jakby o tym w pierwszej chwili można było sadzić.

Moshed przyłożył rękę do czoła, rozglądając się zezem po komnacie, i mówił, jak gościowi przystało, kiedy wchodzi do domu swojego przyjaciela:

- Pokój temu domowi, który jest pałacem Aladyna i sezamem, a jednak Jest zbyt mały, aby się w nim to wszystko zmieściło szczęście, którego ja mu życzę. Gdzie jest sofa w tym przybytku rozkoszy, Hassanie?

Już ten miał odrzec, kiedy szczęściem olbrzymi pająk wpadł w ognisko lampy, która ułapiwszy go żarłocznie, rozpaliła się nagłym płomieniem, jak się nagłą radością zapala człowiek, co jadł wiele. Przy tym blasku ujrzał Moshed, że sofa stoi pod ścianą, więc szedł ku niej dostojnie i równie dostojnie na niej usiadł.

Potem mówił:

- Twarz twoja jest jak słońce, przyjacielu mój, Hassanie, dlatego ciemna jest przy niej twoja lampa.

- Niewolnicy moi są żarłoki i kradną z niej oliwę - odrzekł Hassan - każę jednak zapalić jeszcze wiele lamp, jeśli tak rozkażesz, chociaż oliwy nie mam w domu i musiałbym po nią posyłać aż za most, gdzie jest właśnie najgorsza i przykrą z siebie wydaje woń.

Uśmiechnął się dobrotliwie Moshed, wiedząc, jak wielkim przyjaciel jego jest złodziejem, i rzekł łaskawie:

- Czy mniemasz, że sprawiedliwość nie wydaje z siebie blasku?

- Zaiste - odrzekł Hassan - sprawiedliwość świeci jak sto lamp.

- Więc ujrzeć możemy prawdę nawet przy tym świetle. Poprowadź mnie do twoich żon, Hassanie.

Ten podrapał się w głowę i mówił:

- Nie śmiałbym cię prowadzić do ich komnat, Moshedzie, gdyż jest tam bardzo duszno od ciągłych wzdychań, jakie wydają z piersi kobiety, często ze smutku, często zaś bez powodu - więc je każę tu przyzwać przed twoje oblicze. Przedtem jednak proszę cię, byś nie odmówił w moim domu posiłku.

To rzekłszy, klasnął w ręce i rozkazał niewolnikowi, by przyniósł konfitur, czarnej kawy i fajki, głośno nakazawszy, aby wszystko było jak najlepsze, gdyż gość jego jest najszanowniejszym, jaki był kiedykolwiek w tym domu. Potem usiadł naprzeciwko Mosheda i patrzył w jego twarz pokornie i ze czcią, kiedy zaś niewolnik przyniósł na wielkiej tacy wspaniałe owe rzeczy, sam mu je podawał.

Abd ul Moshed nabierał z godnością konfitur w palce i podnosił je do ust, czynił zaś to tak zręcznie, że bardzo mało zwieszało mu się z palców i padało na żupan; potem zaś, skrzętnie palce oblizawszy, popił czarną kawą, rozkoszując się nią wielce, zaś po chwili

wielki kłąb dymu go otoczył, tak że siedział, jak wśród chmury siedzi Allach, zaś Hassan u jego stóp jako jego Prorok.

Wiele minęło słodkich chwil, zanim Moshed, fajkę od ust odjąwszy, począł mówić:

- Wielka jest twoja gościnność, Hassanie, i zaprawdę kalif Al Mahar nie przyjąłby mnie wspanialej, albowiem rozkosz raju nie jest tak słodką jak twoje konfitury; kawa, którą mnie napoiłeś, przypomina rosę, która o poranku pada na róże, zaś dziecko nie odrywa ust od piersi matki z takim żalem, z jakim ja twoją fajkę od ust odjąłem…

- Zawstydzasz mnie, Moshedzie - przerwał Hassan.

Ów zaś ciągnął dalej:

- Niech ci za to wszystko da Allach wielkie szczęście, zaś przy tym wiele zdrowia i siły, abyś mógł snadnie wybić wszystkie zęby twojemu słudze, który zamiast konfitur daje oliwę i wiele innych nieczystości, do kawy dodaje włosy ze swojej brody, zaś do fajki wkłada nawóz wielbłądzi, który kąsa język i wypija wszystką ślinę z gardła. Powiedz mu, że mu to mówi Abd ul Moshed, który wiele przebacza. Teraz każ przywołać swoje żony.

Dawno już Hassan odwrócił oblicze, teraz zaś czym prędzej przywołał sługę i rozkazał:

- Powiedz, niech tu przyjdą moje żony, abym wynalazł winną!

Czekali chwilę, potem usłyszawszy nagle wielki krzyk w pobliżu, zrozumieli, że usłyszane zostało słowo pańskie. Moshed czekał spokojnie, zaś Hassan srogi okazywał niepokój i nie wiedząc, co czynić, wyrywał sobie włosy z brody, dusza bowiem jego usiadła na węglach, chociaż on sam na miękkiej siedział poduszce; długo tak czynił, po długiej bowiem chwili otwarły się drzwi z wielkim skrzypem i do komnaty weszło pięć niewiast z zasłoniętymi twarzami, albowiem obcy człowiek był w domu. Z nimi zaś weszło dwóch rzezańców bardzo wielkiego wzrostu, obaj zaś mieli twarze opuchłe; jeden był biały i miał ręce tak długie, że mu sięgały aż do kolan, drugi zaś czarny i patrzący zezem, do tego zaś język miał ucięty, co go bardzo podnosiło w cenie.

Niewiasty pochyliły nisko głowy przed Moshedem, zaś rzezańcy padli przed nim na twarz kolejno, razem tego uczynić nie mogąc, gdyż na obu za mało było miejsca.

- Oto są moje żony, Moshedzie! - rzekł Hassan.

- Nigdy nie powiesz nic nowego - odrzekł mu ten, już po raz drugi tego dnia, i zaczął przypatrywać się im pilnie, chcąc im cokolwiek wyczytać z oczu, wiadomo bowiem, że dusza ludzka mieszka w oczach. Zbyt jednak było ciemno, aby mógł ujrzeć cokolwiek, więc tylko udawał, że wiele widzi, i szeptał cos sam do siebie, jakby się dziwiąc. Hassan patrzył na niego uporczywie, potem znów wzrok przenosił na swoje żony, które stały w szeregu niezmiernie

zdumione, z wielką trwogą spoglądając na tego sędziwego męża, którego wzrok był roztropny, a broda biała, co jeszcze większą mądrość oznacza.

On zaś długo nic nie mówił, jakby ważąc słowa, by nie powiedzieć czegoś lekce ani też nieroztropnie; gładził brodę i przymykał oczy, po czym kiwał głową jak człowiek, który się bardzo nad czymś lituje, potem znów się kiwał, co wielce jest pomocnym, jeżeli człowiek szuka czegoś w myśli lub jeśli chce ciężar zrzucić z serca.

Wielka tedy stała się cisza, kiedy Abd al Moshed, oczy otwarłszy, przemówił:

- Wszelka nieprawość będzie ukarana, w pień wycięta i rzucona ogniowi na pożarcie!… - To rzekłszy zapadł w zadumę, oni zaś ? znowu patrzyli na niego z szacunkiem, w milczeniu przypatrując się z bliska tym słowom, które wyrzekł w głębokości ducha i z wielkiego natężenia rozumu.

On zaś, o czym nikt z nich nie wiedział, zmylił ich słowami, sam zaś przygotowywał się do skoku jak tygrys, w chwili bowiem, kiedy się logo najmniej ktokolwiek spodziewał, rzekł gromko Moshed:

- Jedna z was zdradziła Hassana, a ja wiem która!

- Biada mi! - zaśpiewał cienkim głosem biały rzezaniec, zaś czarny, język mając ucięty, zawył jakoś dziwnie i uderzył się rękoma po udach.

- Kismet! - jęknął Hassan.

Moshed zaś wymówiwszy te słowa, spojrzał błyskawicą oczu na niewiasty, chcąc dostrzec, która z nich drgnie, łacno by bowiem poznał wtedy winną, co sobie już przedtem w wielkim swoim ułożył rozumie.

One zaś stały nieporuszone, jak kłody pachnącego drzewa, i żadna z nich nie drgnęła.

Zdumiał się najpierw Abd ul Moshed, potem zasię uśmiechnął się łaskawie jak człowiek, który chce dać poznać przez ten uśmiech, że krzywdy nikomu nie chce uczynić. Widział jednak Allach, że Moshed uśmiechem tym pokrył swoje zmieszanie z tego powodu, iż go zawiodła przebiegłość. Poczuł, że taką sztuką w sieć ich nie schwyta i nie wynajdzie wśród tych pięciu tej, która straszliwej dopuściła się zdrady; zamyślił się tedy głęboko i schodzić zaczął aż na dno swojego rozumu, wiele po drodze znajdując rad, żadna jednak nic wydała mu się dobra. Zamknął oczy i głowę w tył pochyliwszy, trwał tak nieruchomy i dostojny jak wielki sędzia, który trudną ujął w ręce sprawę.

- Allach Kerim! - pomyślał Hassan ten człowiek usnął.

Po poruszeniu warg można było poznać jedynie, że Abd ul Moshed nie usnął, lecz rozmawia z duszą, najmędrszą, jaką znał kiedykolwiek. Westchnął potem głęboko i dziwnie tkliwie, jak resztek sumienia nie pozbawiony ludożerca, co ma zjeść właśnie ostatniego

swego syna; pogładził brodę i głową pokiwał ruchem dziwnie przejmującym, czemu się Hassan przypatrywał z trwogą, zaś żony jego patrzyły na to ciekawie, jak gdyby oglądały takiego człowieka, co niezmiernych, czarnych sztuk świadom, umie połykać kindżały, chodzić po mieczach lub znosić strusie jaja.

Drgnęły jednak, usłyszawszy jego głos, który, tkliwy przedtem, mruczał teraz jak grzmot, potem coraz to potężniejąc przypomniał wreszcie wielki huk wozu, pędzącego szybko po kamienistej drodze, kiedy się muł spłoszył, a woźnica jest pijany.

- Hassanie! - rzekł - powiedz mi imiona swoich żon. I imię mówi nieraz wiele, rad bym zaś wiedzieć wszystko, nic chcąc uczynić krzywdy.

Wystąpił Hassan i rozejrzawszy się wśród swoich niewiast, poznawał każdą biegłym okiem, tę po czerwonych rękach, tę po piersiach nadmiernie wybujałych, inną zasię po tym, że była chuda jak derwisz, co się odprzysiągł jedzenia. Nazwał każdą imieniem słusznym i sprawiedliwym:

- Oto jest Medżisa, nazwana także Zapachem Róży; kupiłem ją dla jej pięknego głosu, choć lewa jej łopatka wyższą jest od prawej. Owa przy niej zowie się Zoe, zwana też Ciastem Rozkoszy, ojciec jej bowiem był piekarzem; oczy jej patrzą zezem do środka…

- Jeśli kobieta patrzy zezem - wtrącił Abd ul Moshed - lepiej jest, że to czyni ku środkowi, niż żeby wiecznie patrzyła na boki. Któż jednak jest ta trzecia, której czarczaf nie przylega do twarzy?

- Jest to Anoe, córka handlarza dywanów, która czarczafu należycie nałożyć nie umie na oblicze, albowiem nos jej jest niekształtny i przypomina wzgórze; czwarta jest Fatima, która nie ma znaków jawnych, gdyby jednak było potrzeba, powiem ci, Abd ul Moshedzie, po czym ją można poznać, zdjąwszy z niej szaty. Piąta zaś, owa, której piersi przypominają dostatek i bogactwo i która tak ciężko dyszy z nadmiaru tłuszczu, jest córką rzeźnika, co mieszka przy wielkim moście. Zowie się ona Anaziba, co znaczy także Wietrzyk Poranny. Nazwałem ci je wszystkie, Moshedzie, teraz je rozsądź.

- Rzekłeś, Hassanie!

Myślał przez chwilę Abd ul Moshed, potem mówił:

- Nigdy nie uczyniłem krzywdy żadnemu stworzeniu i nie miałem serca, aby zabić pchłę, która piła moją krew, nie chcę tedy być srogim i dlatego proszę, aby spomiędzy was wyszła ta, która zawiniła niezmiernie, dopuściwszy się zdrady, dzieląc rozkosze panu waszemu, Hassanowi, przynależne pomiędzy innych. Jeśli ‘się sama przyzna, obiecuję jej łaskę i przyrzekam, że prócz ucięcia głowy nic się gorszego jej nie stanie. Och!

Wypowiedziawszy te słowa, spojrzał pilnie, chcąc dostrzec, która z nich drgnie z przestrachu, dowiedziawszy się, że jej zbrodnię odkryto, lecz one stały nieporuszone. Słychać było tylko ciężki oddech Hassana i głośne sapanie Wietrzyka Porannego, która wydawała takie głosy, jakie wydaje samum, wiejący na pustyni.

Pobladł Moshed i rzekł:

- Mówiłeś, Hassanie, że mają krzywe łopatki i nosy podobne wzgórzom. Czemuś mi nie powiedział, że wszystkie twoje żony są nieme?

- Biada! - jęknął Hassan. - Niech je wydusi zaraza!

To powiedziawszy splunął trzy razy na dłoń i opadł na duchu; lecz mądry Moshed uniósł się tylko na jedno mgnienie oka, gdyż wnet znów przymknął oczy i szukał oczyma duszy drogi do tych serc niewiernych, a chytrych, jak wielbłąd, co nozdrza rozdawszy, szuka węchem zapachu wody wśród piasków, albo jak księżyc, co się przekrada pomiędzy chmury, albo też jak potwarz, co chytrze wśród ludzkich wędrując uszu, idzie coraz dalej i dalej, aż ukąsi w serce tego, na kogo ją nasłano.

Po chwili był tak spokojny jak wierny, który minął już ostrze miecza położonego nad przepaścią, dzielącą raj od życia na tej ziemi; spokojnym tedy głosem mówić począł:

- Jesteście kobiety dobre i macie czyste serca, wstydzę ‘się więc, że chcąc przyjemność uczynić panu waszemu, wystawiłem was na próbę, nic pomyślawszy o tym, jak ciężko was mogłem ukrzywdzić.

W tym miejscu mrugnął znacząco na Hassana, ten ci bowiem ze zdumienia otworzył szeroko usta i patrzył takim wzrokiem jak człowiek, któremu Allach palcem zamieszał rozum.

Potem mówił:

- Potwarz rzucono na was, a uczynił to pies nieczysty, który oby umierał długo. Oto pan wasz i ja schwytaliśmy młodego człowieka (oby świerzb nigdy spać mu nie dał!), który jakoby uciekał z waszych komnat. Wzięliśmy go na pętlicę, z jego uczynioną turbana, w którym wiele było nieczystego robactwa, i uwiązawszy go do słupa, pytaliśmy go, co czynił w tym domu. Rzekł nam: „Chciałem zobaczyć żony Hassana!”

- Kismet! - szepnął Hassan, a żony jego poczęły nasłuchiwać pilnie.

Zaś Moshed mówił:

- Zapytałem go tedy łaskawie, czy zdobył miłość której z was i czy go która przypuściła do swego łoża, niecnie zdradziwszy pana; odrzekł mi na to: ?Mienisz się mądrym, Moshedzie, a nie wiesz, że tylko ślepy mógłby je umiłować… Bo czy można kochać dromadery (mówił) albo inne stworzenia nieczyste? Gdyby wszystkie żony Hassana nagie stanęły przede mną, nie tknąłbym żadnej, bo czyż może człowiek na oba widzący oczy

przycisnąć Fatimę, co ma krzywe biodra, albo Medżisę, która ma lewą łopatkę wyższą, albo może Anoe, której nos przypomina garb; może by miał ukochać Zoe, która patrzy zezem jak złodziej albo szakal? Może Anazibe, która opasła jest jak meczet i dysze tak, że by mogła pędzić przed sobą tysiąc łodzi?"

Jeszcze mówić nie skończył mądry Abd ul Moshed, kiedy pięć kobiet przypadło ku niemu i włosy sobie rwąc z głowy, uderzyły w płacz tak straszny, jakiego nie słychać w piekle. Wrzask się podniósł niezmierny i tak niespodziewany, że się zachwiał Moshed i patrząc jak błędny, w tył cofał głowę.

One zaś, szlochając na przemiany, wołały:

- Złoczyńca! Miłość mi przysięgał… Oby mu oczy wyciekły…

Potem padły na ziemia i drąc ją palcami wyły tak, jakby nie lampa wisiała u stropu, lecz księżyc uwiązany do zardzewiałego łańcucha.

A one wolały:

- Nagą mię widział, a mówi, że biodra mam krzywe!…

- Oo!… oo!…

Zasię inna:

- Każ go zabić, panie, gdyż byłam jego… Mówił mi, że nie widział piękniejszej.

Abd ul Moshed z trudem się podniósł z poduszek, oczy mając szeroko rozwarte; stał chwilę zamieniony w słup, potem oddechu nieco schwytawszy, jak lew w potrzask złapany, ryknął dzikim głosem:

- Hassanie! Zdradziły cię wszystkie!

Potem ująwszy rękoma szaty, rzucił się jak jeleń w stronę drzwi, wykrzykując nieludzkim głosem niezrozumiałe słowa, zasię biały jego osioł, ujrzawszy dziwnie wyglądającego swego pana, ryknął przeraźliwie i kiedy Moshed padł mu na grzbiet, wierzgnął straszliwie i rycząc wciąż, gnać począł przez ciche ulice.

Zaś Hassan począł wodzić oczyma po izbie, a zrozumiawszy dopiero po chwili niezmierne swoje nieszczęście, do którego go przywiodła jogo ciekawość i niezmierna modrość Mosheda, począł powoli odwijać turban z głowy.

- Kismet!… - jęknął cicho i wolnym krokiem poszedł się obwiesić na rozwitym turbanie.

Wiś w spokoju, dobry Hassanie!

MĘDRZEC ZZA MORZA

Pisał wielki ka1if Al Mahar do wielkiego władcy Indii:

„Jeden jest Bóg, lecz wielu Jest nieszczęśliwych, o bracie mój, którego oddech jest wonią kwiatów, a myśl każda jest błyskawicą! Którego rumak dumnym Jest, że norii ozdobę ziemi, i przed którym przyklękają wielbłądy, jakby rozumiejąc, że poniosą słońce na grzbiecie. Pozdrowienie tobie wielekroć po dziesięć razy i chwała tobie, sułtanie, któryś jest dla ludów swoich słońcem w dzień, księżycem w nocy, a srebrną gwiazdą o poranku. Oby każdy z trzydziestu ośmiu synów twoich tyluż ich spłodził, abyś za lat tysiąc, kiedy cię wiek nieco pochyli ku ziemi, miał radość dla serca, pociechę dla oczu, a dumę wielką dla duszy; zaś żonom twoim mówię oto, że są szczęśliwe jak hurysy, kiedy na nie spojrzeć raczy miłym okiem Prorok, po raju powoli chodzący, bowiem ty na nie spoglądasz. Oby żadnej nie tknęła ciemna potęga starości, która wyrywa zęby> marszczy skórę i sypie sól pustynną na włosy, tak że są białe, i obyś z każdą tyle razy zażył rozkoszy, ile dni ma wieczność.

Sułtanie, bracie mój! - jeśli pismo moje przeczytawszy, wyjdziesz na brzeg morza, zdumiejesz się, ze tak bardzo wezbrało i sięga aż do twoich stóp, obutych w złote sandały; wiedz, że to z łez moich morze tak nadmiernie urosło, albowiem nad brzegiem usiadłszy, płaczę już od dawna, a tak gorzko, jak najnędzniejszy rybak w państwie moim nie płacze. Serce moje jest jak złoty puchar, który spleśniał od trucizny, wargi moje są spękane i wiele jest na nich ran od gorzkich i męki pełnych słów, które wymawiam, zaś oczy moje są jak

dwie cysterny w libijskiej pustyni, bez kropli wody, wszystkie już bowiem łzy wylałem w morze. Tobie jednemu to mówię, albowiem wiem, że wielką masz duszę i pojmiesz niezmierny mój smutek, którego ja sam pojąć nie mogę, albowiem nie wiem, skąd przyszedł i kiedy się zjawił w moim pałacu, w którym jest wielu ludzi i więcej jeszcze bogactw, lecz nie ma radości, jak w domu, w którym była zaraza.

Ptak żywię w powietrzu, ryba w morzu, zaś smutek mieszka w duszy serce jedząc, najsłodszą potrawę, i pijąc krew, napój najmilszy, dusza zaś - o bracie mój - jest jako niezmierna pustynia, smutek zaś jest jak woda, która w piaski wsiąka. Coraz jej więcej i więcej zapada w głąb, cisnąc się w wnętrze, skąd już jej żadne nie wydobędzie słońce, które złotymi rękoma gładzić lubi róże lub się kładzie odpoczywając w południe na ciche morskie wody, lecz rąk nie brudzi w namule ani nie pełza do pieczar, w których śpi czarny, z trzema głowami wielbłąd smutku.

Dlatego nie wynoszę nieszczęścia mojego na słońce jak trędowaty, który kryje się w lesie lub w górskiej jaskini, aby nie razić oczu słońca i aby mnie nie ujrzał nikt z żyjących, snadnie bowiem zabić by mnie mógł uderzeniem spisy, wołając; ?Nie możesz dać szczęścia poddanym swoim, bo go nawet nie znasz z twarzy". Mógłby też przyjść inny i zabić mnie ciosem krzywej szabli, mówiąc: „Zbyt jesteś smutny, abyś żył!" Inny zasię mógłby mnie ustrzelić z łuku złorzecząc mi: „Cień pada z twoich oczu na moje pole i kłosy moje nie rosną w mroku".

Och, bracie mój, najpotężniejszy sułtanie! Nie wiem, jak w twoim kraju wygląda śmierć: w moim podobna ona jest we dnie do wielkiej ciemności, która mi padła na piersi i na oczy, zaś w nocy podobną jest do pożaru, który płonie we mnie, naokoło mnie i wszędzie. Czy zrozumiałeś wielkie czarnoksięstwo śmierci, co jedną z siebie zrzuciwszy postać, w drugą się ubiera, nigdy zaś nie przychodzi w postaci rycerza, co na czarnym koniu, krzywą szablę uniósłszy nad głową i kindżał zębami ująwszy, leci w pędzie w chmurze pyłu? Dlatego tak nie czyni, gdyż nie trwożyłby się mąż dzielny takiej śmierci, miecz mając w dłoni, lecz jest tak, że wspaniały tygrys przed muchą tnącą ucieka, zaś lew drży na widok myszy jak niewiasta.

Jakżeż nie trwożyć się widma, które nie ma twarzy ani oczu, ani rąk, a ma tysiąc twarzy, tysiąc oczu i tysiąc rąk?

Mówię tobie: gdyby pismo moje do ciebie przeczytał Allach, ulitowałby się nade mną i zapłakał, alboby posłał anioła Gabriela mówiąc:

„Bieżaj do owego miasta, w którym się smuci kalif Al Mahar, i jedwabną chustą otrzyj mu oczy, potem mu daj haszyszu „zapomnienia i śpiewaj przez noc całą w jego pałacu, aby się uśmiechnął ów człowiek, któremu wyrządziłem krzywdę".

Nie pozna jednak nigdy Allach treści tego listu, gdyż go pod strażą wyślę do granic mojego państwa, zaś dalej twój już Allach rządzi, który nie zna ani spraw moich, ani mojego imienia. Nie chcę bowiem pomocy Allacha, gdyżby ona wstydem jego być musiała, nie może zaś być, aby niewolnik zawstydzić miał swego pana, dziecko swego ojca, i żeby wielki rumieniec zorzy spłynął na twarz mojego Boga, kiedy by ujrzał, że niesprawiedliwość uczynił wobec mnie. Postanowiłem tedy rozumem ludzkim dotrzeć do dna mojego smutku i znaleźć moc na niemoc, radość na otarcie łez, i chcę dojść tego, jaką bronią zabić można upiora, co mieszka u stropów tysiąca trzystu czterdziestu moich komnat.

Dwanaście umarło księżyców od owego czasu, kiedym tak zamierzył, zaś dziwią się teraz ludzie moi, skąd mam na czole zmarszczkę, jakby od ciecia miecza, nie wiedząc, że ją wykuło wiele, wiele nocy, jak w kamieniu kując, lecz bez szelestu. Dziwią się też, że ja, com

przed zachodem słońca spożywał chętnym sercem i z duszą radosną wiole potraw, dziś zmożony dziwnym smutkiem zdołam przełknąć nie więcej nad dwa młode jagnięta, na węglach umiejętnie przypalone, i drobnej postawy kura, który w tłustości swej pływa wśród białego ryżu. Czy mogę myśleć o ciele nie wiedząc, co się stało z duszą moją? Bóg widzi…

Pytałem już wiciu lekarzy o straszną przyczynę, lecz ci przysięgam, o bracie, że ich już więcej pytać nie będę, kazałem bowiem powiesić dwunastu, z trzech zaś kazałem uczynić rzezańców, głos mieli bowiem zbyt doniosły i szorstki: jednego zaś, który mi rzekł, że dopiero po śmierci mojej nieomylne powiedzieć może mniemanie o przyczynie mej choroby, żywcem kazałem zakopać na cmentarzu, aby tam snadniej mógł leczyć trupy. Pytałem potem ludzi, znających drogi gwiazd i wszystkie przyzwyczajenia, dziwne bardzo, słońca i księżyca, ci zaś - naradziwszy się długo odrzekli mi, że dopiero za lat sto siedm ukaże się na niebie owa gwiazda, z którą moje są związane losy. Cóż mam uczynić?

Kazałem zwołać wszystkich mędrców, jakich można było znaleźć w moim państwie, i dwóch ich tylko przybyło, lecz jeden z nich był niemy i niczego powiedzieć mi nie umiał, drugi zaś jest wielkim mędrcem i słynnym bardzo, jednak tylko w grze w szachy, w czym słusznej zażywa sławy, nie mógł jednakże mojej rozpoznać choroby. Dlatego też do stóp się twoich kłonię, wielki i możny sułtanie, a rozpacz moja wraz ze mną bije ci pokłony błagając, byś mnie wspomógł. Wiem, że nigdzie na ziemi tyle nie znajdzie mędrców, ilu ich w twoim niezmierzonym jest kraju, i wiem, że wielkie ich otacza ciebie grono, niezmiernie mądrze radząc, jak rządzić należy: nakaż tedy jednemu z nich, aby przez czas niejaki nie patrzył w słoneczne twoje oblicze, i poślij go do mojej stolicy, aby stanąwszy przede mną, z oczu moich wyczytał, dlaczego morze smutku przelewa sio w mojej duszy i dlaczego w sercu mam cierń, a oczy moje od krwawych łez są czerwone. Górze! Górze!

Pozdrowienie tobie, największy z władców, który jeśli w nocy się ukaże, cudy czyni, ptaki bowiem zaczynają śpiewać i kwiaty otwierają kielichy mniemając, że Jutrzenka spłynęła na niebo; ty, bez którego raj jest smutny jak moja dusza, którą ujrzysz dziś we śnie, bardzo bladą i nędzną, co mi przebaczyć racz, wielki i potężny Anianti, bracie mój…”

Taki oto list pisał przez wiele dni i wiele nocy dumny Al Mahar, po czym wziąwszy cudny kindżał, długo się w niebieskawe jego wpatrywał ostrze, wreszcie jednym cięciem uczynił sobie ranę na ramieniu, aby podpis zaczerwienił się krwią. Tyle jej jednak tylko wypłynęło, że zaledwie na trzy czy też cztery starczyło jej litery, tak był smutkiem i zgryzotą wycieńczony dostojny kalif, który widząc to, zmartwił się śmiertelnie, potem na chytry wpadłszy pomysł, przywołał bardzo krwistego kucharza, a zamachnąwszy się, uderzył go

najłaskawiej pomiędzy oczy, że się onemu człowiekowi krew z nosa polała strumieniem. Nią też pisania dokończył.

Wielki potem orszak wyruszył ku morskiemu brzegowi, zaś dwóch rosłych ludzi niosło w sandałowej, złotem kutej skrzynce bezcenny list kalifa, pilnie go strzegąc, więcej niż oczu w głowie, łatwiej im bowiem było o oczy niźli Al Maharowi o drugi list taki, w którym była cała jego dusza. Sto wielbłądów szło za nimi w bardzo bogatych rzędach, zaś pod palankinami, aby snadź słońce nie doskwierało zbytnio i nie psuło przecudnej barwy skóry, jechało sto niewiast, piękniejszych od najpiękniejszego snu, kiedy człowiek legł syty na posłaniu i z czystym .sercem, wszystkie zaś dziewice, które nie zaznały męża, co starannie i chytrym sposobem zbadawszy, zaświadczył nieprzekupny nadzorca eunuchów, człowiek, który zęby zjadł w dostojnej swej służbie i okpić się nie dał. On ci to teraz, na rosłym i dziwnie złośliwym jadąc dromedarze, udawał, że śpi i oczy ma zamknięte, czasem jednak budził się nagle i świszczącym biczem smagał po nagich plecach niewolnika, co biegnąc przy wielbłądzie, oczyma zawrócił, pod palankin niewieści patrząc, wyszczerzył zęby i trząść się począł jak w febrze. I znów spał dalej dziewiczy ów mąż, który nie bodzie miał syna podobnego do siebie.

Niesiono dalej wiele bogactw i wiele sprzętów wojennych, złotem wykładanych, cudnie w słońcu grających - wszystko to, aby ucieszyć oko indyjskiego władcy; zasię w nieskończonym szeregu szło czterech silnych ludzi i dźwigało wielką tablicę, na której czerwoną farbą wymalowane zostało rozwiązanie wielkiego geometrycznego zagadnienia, chciał się bowiem Al Mahar pochwalić i pokazać dostojnemu swemu bratu, jak uczonych ma poddanych; szli potem inni, wszelkie leki na rozmaite niosący choroby, inni znów dźwigający dziwną maszynę, naśladującą szum burzy i warczenie piorunów, wreszcie trzy razy po sto niewolników stąpało z wolna, tyle bowiem niezmiernych skarbów, tyle dziewic i niewolników ofiarował wielki kalif Al Mahar za jednego człowieka, który zna mądrość i własnymi ją oglądał oczyma.

Sam zaś siedział smętny i słowa do nikogo nie mówiąc patrzył w sufit przez dzień cały; w nocy kładł sio na wznak, a przekonawszy się, że nikt go nic słyszy, jęczał głucho.

Wiedział o tym wielki wezyr i wiedział o tym szeik ul Islam, każdy jednak z osobna, ile jednak razy spotkali się przypadkiem, patrzyli na siebie bardzo roztropnie; wtedy wezyr, aby nie powiedzieć za wiele, przymykał lewe oko, prawym zaś mówił: „Zdaje mi się, że Pań nasz dostojny raczył zwariować!" zaś szeik prawe zmrużywszy, szeptał lewym okiem: ?Tak to jest zawsze, jeśli kto jest głupi jak żebrzący derwisz". Potem równocześnie a szybko obaj przymykali oczy, aby ślad z ich mowy nie pozostał, i .szli w przeciwne strony, poważnie i w

wielkim zamyśleniu, a wtedy wezyr myślał głęboko i mówił sobie: „Złodziej ten, udając pobożnego, przesuwa w rękach paciorki różańca, gdyby bowiem ręce miał wolne, kradłby na obie strony” - zaś szeik mniemał w duchu, że i wielki wezyr, potknąwszy się na kamieniu, może złamać nogę. Tak to oni życzyli sobie z głębi serca, a Allach słuchał obu.

Al Mahar czekał. Nie było dla niego radości życia, gdyż znaleźć jej nie mógł nigdzie, ani w ogrodach, po których jak cień się snuł, ani też w haremie, gdzie na jedwabnych poduszkach, słodko śniąc, czekały hurysy ze wszystkich krajów ziemi, kiedy się on zjawić raczy i wybrać jedną z nich na rozkosz, podczas której widzi się niebo otwarte i Proroka, siedzącego w gronie dziewic; lecz kalif rzadko teraz kiedy przechodził przez niewieście komnaty i zaledwie przelotem spojrzeć raczył na cudne jakieś piersi w przód podane tym ruchem, jakim przekupień owoców pokazuje przechodniom dwa pyszne granaty, położone na dłoni; zaledwie spojrzeć raczył na różane ciało hurysy, co całe się odsłoniwszy, oślepić chciało jego znużone oczy przepychem drżących lędźwi: tak handlarz perski chce porwać ludzkie oczy, rozpostarłszy przed nimi dywan świetny, miękki a puszysty. Ooch!

Jak ptaki rozprawiające świegotem o poranku o przygodach nocy, tak one po przejściu kalifa, na którego ślady rzucano zaraz kwiaty i miał bursztynowy, mówiły sobie szeptem tak słodkim, jak zapach mirry, i tak pieściwym, jak poszum liści w ogrodach, kiedy je wiew wieczorny pajęczą swoją muśnie dłonią: ?Smutny jest Pań nasz, władca połowy świata obym go mogła rozradować dzisiejszej nocy!”

Zasię inna, mająca oczy tak ciche jak westchnienie, a skórę tak przejrzystą, jak uczciwe serce, mówiła: ?Ciało jego musi być teraz zimne, gdyż zgryzota śpi w nim”…

Inna wreszcie, długo patrząc w to miejsce, w którym zniknął czarnowłosy Al Mahar, westchnęła tylko, pomyślawszy, jak bardzo musi on być nieszczęśliwy, i poczęła płakać, miała bowiem dopiero lat dwanaście i wiele łez nie wypłakanych. Ujrzał to kosooki rzezaniec, a bojąc się, aby oczu potem nie miała czerwonych, wyliczył jej cienkim bambusem dziesięć plag, aby ukryła łzy, co się też stało.

Al Mahar czekał.

Wiele już razy księżyc usiadł był na szczycie najwyższego minaretu jak złoty ptak, co odpoczywa przez chwilę zmęczony wędrówką, lecz spędzony ujadaniem i wyciem psów, widoku jego nie znoszących, spłynął powoli, omijając powoli gwiazdy, by snadź której drobniejszej nie strącić z firmamentu, jak to się zdarza czasem, i wtedy gwiazda, zbladłszy nagle ze śmiertelnej trwogi, strząśnięta z wielkiego dywanu nieba leci w dół, wlokąc za sobą, rozpostarte na wichrze, złote swoje długie włosy. Kalif patrzył w niebo i liczył księżyce, ile zaś razy księżyc umierał, zżarły przez żarłoczne chmury jak dusza Mahara przez smutek, tyle

razy kalif wydzierał jeden szmaragd z turbanu i rzucał go w morze, aby nie stracić rachuby czasu. Z dwudziestu czterech trzy już tylko zostały na pysznym jego turbanie szmaragdy, kiedy mu nagłe doniesiono, że do pałacu jego zdąża poselstwo indyjskiego władcy, z nim zaś nikt ze służby kalifa, którą był wysłał z darami przed dawnym już czasem.

Kazał sobie Al Mahar przynieść nowy turban, diamentami sadzony, tak świetny, jakiego nie ma nawet słońce o brzasku, kiedy na głowę wdziewa niezmierny kołpak purpurowy, w którym lśnią w złotej oprawie najpiękniejsze drogie kamienie i na którym powiewa chwiejąca się kita z pierzastych chmur, poruszana wiatrem. Pyszna kita na turbanie kalifa, osypana pyłem diamentowym jak przeczystą rosą, ową była, którą Al Mahar rzadko wydobywał ze skarbca, powiedział mu bowiem Jeden hodża (który potem oszalał), że mu jej Allach zazdrości, sam takiej nie mając, nie godzi się zaś Boga swego kłuć w oczy czaplim pierzem.

Przyoblekł potem szaty przecudnego koloru, zaś na barki nałożył świetny płaszcz, mający ciężar tysiąca diamentów i tyluż rubinów, mniejszej nieco ilości szmaragdów i pereł, tyle bowiem tych kamieni, ociekających słońcem lub krwią, zieleń sobą sączących lub tajemniczym dna morskiego migających blaskiem, rozsianych było na tkaninie, lśniącej jak toń wody o zachodzie słońca, ciepłej jak powiew w pustyni i tak miękkiej jak kobieca ręka. Tak był wspaniały w stroju tym Al Mahar, że ujrzawszy go, słudzy padali na twarz i bili pokłony, zaś derwisz jeden mniemając, że na łaski kalifa zasłuży, udał, że oczy sobie przeciera, potem, na brzuch upadłszy, począł jęczeć: „Prorok! Prorok!” Zdumiał się najpierw Al Mahar, kiedy mu zaś zdumienie przeszło, podnieść się kazał derwiszowi i najłaskawiej własną ręką w plugawy pysk mu dać raczył.

Odetchnął potem i pytać począł, gdzie jest wielki wezyr, na co mu powiedziano, że wielkiej wagi roztrząsa sprawy w tej chwili, od których los państwa zawisnął. Zatroskał się o swego sługę kalif Al Mahar i w całym swym blasku sam poszedł do jego komnat, lecz u drzwi stanąwszy, zdumiał się po raz drugi, albowiem wezyr, na dywanie siedząc, tłukł sobie orzechy wielką pieczęcią państwową, jako że była żelazna i bardzo ciężka.

Zmarszczył brew wielki Al Mahar i gniew tłumiąc rzekł:

- Porzuć, psi synu, tę robotę i pójdź, abyś stanął za moim tronem, kiedy będę przyjmował poselstwo i największego mędrca, jakiego oglądała ziemia.

Jak pies, ogon pod siebie wtuliwszy, idzie zi swoim panem, tak szedł wezyr za Al Maharem do wielkiej sali, w której środku biła fontanna; woń z niej szła dokoła, zaledwie dostrzegalnym przędząc się pyłem, gdyż wiele do wody wlewano wonności, co nawet było potrzebne, u tej bowiem fontanny myli sobie ręce eunuchy i inni dostojnicy dworu, zdarzało

się też, że ten i ów, zbytnio się leniąc i czyniąc niechlujnie, wcale nie różaną wodę dolewał do marmurowe] cysterny fontanny, w której i tak już wiele gniło odpadków daktyli, owoców wszelkich, a nawet kość barania.

W tej to sali usiadł na trzydziestu dziewięciu poduszkach dostojny kalif Al Mahar, zaś naokół usiedli dostojnicy, wielką zdradzający ciekawość, co można było poznać łacno po twarzach, chyba że który żuł bakalie lub twarde baranie żyły i nadmiernie poruszał szczekami; kalif zaś oczy z lekka przymknąwszy, lśnił w bogactwach i przepychu diamentów, jak wspaniały księżyc lśni wśród gwiazd, i wyglądał jak drzemiący lew, co zjadłszy do syta, odpoczywa, w złotym zagrzebany piasku. Otworzył jednakże jedno oko, usłyszawszy hałas na dziedzińcu i .stuk wielu sandałów na granitowym jego bruku, drugie zaś wtedy dopiero, kiedy się do sali tłoczyć poczęła wielka ciżba dziwnych ludzi, których słońce przypaliło tak, jak żar węgli przypala barany, wielu mężów koloru zgniłego barana, a tak chudych, że najchudszy derwisz w państwie kalifa był przy nich człowiekiem opasłym, jako nieczysty wieprz; zdawać się mogło, że ludzie ci nie rzucają cienia i że nie oni niosą w rękach długie spisy, lecz spisy niosą ich, wywijając nimi, jak wiatr chudą wywija gałęzią.

Oczy mieli piękne, a tak czarne, jak czarną nie jest dusza wielkiego złodzieja ani też sumienie strażnika kalif owego skarbca; były to oczy wielkie i rozumne jak oczy wielbłąda, zwierz ten bowiem ma wzrok siedemkroć razy rozumniejszy od wzroku mędrca, umiejącego na pamięć wszystkie sury Koranu, zaś trzysta jedenaście razy rozumniejszy od najchytrzejszej niewiasty; ich zaś oczy rozumiały wszystko i pożerały wszystko jak ogień pożera, dziw też brał, że wszystko naokół żrąc oczyma, tak bardzo byli chudzi. Ujrzawszy ich, pomyślał szeik ul Islam, że w kraju tych dziwnych ludzi nie można użyć doskonałego i w wielu wypadkach bardzo skutecznego przekleństwa: „Oby ci mięso odpadło od kości!", trzeba by bowiem kląć tak ze trzy lata, a odpadłym od kości mięsem nie mogłaby się pożywić wrona. Bardzo też był niespokojny, równie jak i kalif, który oczy coraz szerzej otwierał, zdumiony tak wielce, jak zdumiony byłby Prorok, gdyby Ali Baba i czterdziestu rozbójników weszło nagle do raju.

Oni zaś najpierw srogi podnieśli wrzask, tak wielki, że kita na turbanie kalifa drgnęła nagle, potem zaś upadli wszyscy na twarz i leżeli bardzo długo, tak że ich kalif mógł policzyć i naliczył dwustu mężów. Potem powstał z nich jeden, widać wódz, reszta zaś klęcząc słuchała jego mowy, co trzy słowa niezmiernie krzycząc, to bowiem miało oznaczać niezgłębioną radość serca.

Tak oto mówił wódz ich, Muriamadasi, zaczepiając słowami o lśniące zęby:

- Ziemia jest wielka i ziemia jest bardzo wielka, a ty jesteś większy, sułtanie Al Maharze. Wielu jest mądrych i wielu jest bardzo mądrych, a ty jesteś najmędrszy, wielki

kalifie. Nie ja to mówię, lecz mi to kazał powiedzieć pań mój, który rzekł do mnie: „Idź do kalifa Al Mahara i powiedz mu, że jest najmędrszy, aby się ucieszył w sercu, tak bowiem głupim jest ten człowiek, że uwierzy w to, co mu powiesz bezecnie, o Muriamadasi…" Tak rzekł…

- Hojo! - zawyli towarzysze jego.

Poczerwieniał od straszliwego gniewu Al Mahar jak słońce, kiedy mu oczy krwią nadbiegną, tak że krew na całe spływa morze, za chwilę zaś pobladnął jak człowiek, który zjadłszy nadmiernie, dławi się we wnętrzu i czuje wielki zamęt w głowie; naokół niego zaś stali wszyscy, drżąc w śmiertelnym lęku i nie śmiejąc odetchnąć, aby wraz z powietrzem nie wciągnąć do piersi haniebnych owych słów, które w głupocie wielkiej zostały wypowiedziano; ów wódz jednakże - nie bacząc, jak wielkie wrażenie sprawiły jego słowa, które w głowie swej piastował troskliwie przez długi czas podróży, jakby piastował węża albo glistę, albo ropuchę - mówił dalej:

- …to ci kazał powiedzieć Pań mój, który ma tysiąc słoni: „Pozdrowienie tobie, bracie mój, sułtanie wiernych, któryś mi posłał sto dziewic na pociechę trosk, lecz wiedz, że z owych stu - tylko dwadzieścia siedm przybyło do mego kraju z dziewiczym skarbem, wiele zaś z innych w odmiennym już było stanie, czego pojąć mię mogłem i o co ciebie pytam, kalifie Al Maharze…"

- Hojo! - ryknęła tłuszcza oddając pokłon na dźwięk straszliwego nazwiska.

- „Dlatego też - (kazał ci rzec Pan mój i władca) - wszystkich twoich ludzi kazałem roztratować przez słonie, czym cię zapewne ucieszę, zły to jest bowiem sługa, który nie uznaje dziewicy swojego pana. I ja też tobie chciałem posłać wiele dziewic, lecz, Al Maharze, słudzy moi szukali przez trzydzieści dni i nocy w całym moim państwie i jedną tylko znaleźli, lecz ta była kulawa i wielkie miała ‘na twarzy krosty. Więc ci posyłam tylko dwie papugi i wiele diamentów, byś je z pogardą rozdał między niewolników. I tego ci posyłam, któregoś żądał: człowieka, który mi się wydawał mądrym… Weźmij go i uczyń z nim, co zechcesz, sądzę zaś, że najlepiej będzie, abyś go kazał zabić, zbyt bowiem jest mądrym, aby był szczęśliwym, i zbyt jest mądrym, aby był godzien życia. Żyj długo, kalifie Al Maharze!" To ci kazał rzec pań mój, który ma tysiąc słoni. Powiedziałem!

- Hojo! - wrzasnęli jego towarzysze i uderzyli czołem o kamienną posadzkę tak mocno, że tu i ówdzie pękła granitowa płyta, ku największemu wszystkich zdumieniu.

Dziwili się wszyscy bardzo i długo rozważali usłyszane słowa, nie .spiesząc się w myśleniu, aby wszystek z nich wydobyć sens; podobnie zgłodniały człowiek żuje długo i cierpliwie ziarnka dyni, aby ani cząstki nie uronić z szlachetnego tego pożywienia, i jak on

wreszcie wypluwa resztki, tak właśnie treść całą z przemowy wydobywszy, splunął kalif Al Mahar jednym tylko słowem.

- Złodziej! - szepnął i wpadł w zadumę.

Patrzyli wszyscy w niego jak w tęczę, gdyż do tęczy był podobny, czekając na to, co raczy powiedzieć; zaś on po długiej chwili spojrzał srogo na wodza poselstwa i spytał gromko:

- Gdzie jest ów człowiek, który się mędrszym od innych być mieni?

- Człowiek ten jest na dziedzińcu - odrzekł wódz - kazałem mu oczyścić wielbłąda, mędrcem bowiem będąc, do niczego innego nie jest przydatnym.

Musiał się bardzo zdumieć Al Mahar, gdyż aż oczy przymknął i zaniemówił na chwilę, wkrótce jednak spojrzał gniewnie, po czym powoli rozwiązywać począł zielony sznur, którym był przepasany w pasie, a rzuciwszy go pod nogi indyjskiego wodza, rzekł:

- Weźmij to i uczyń, co należy.

Muriamadasi podjął sznur z ziemi i przyglądać mu się począł ze czcią, nie wiedząc, co uczynić z darem tak wspaniałym; oblicze miał nabrzmiałe zdumieniem i ciekawością, aże podbiegł ku niemu jeden mufti, chwycił sznura, pętlę z niego uczynił i nałożywszy ją na szyję posła, snadnie mu wyłożył, czego zapragnął kalif.

- Hojo! - jęknęli słudzy indyjskiego władcy, zaś Muriamadasi, szybko pojąwszy, o co rzecz idzie, uderzył trzy razy czołem, potem sznur ucałowawszy ze czcią, wyszedł na kolanach, aby się powiesić gdzie indziej i nic razić kalifa złym widokiem.

Zasię kalif, odetchnąwszy głęboko, spojrzał na wszystkich strasznym wzrokiem, po czym poprawił się na poduszkach i wysłał wezyra do wielbłądziej stajni, gdzie mędrzec indyjski czyścił dromedara, odrapując pracowicie ze sierści zeschłe w słońcu łajno.

Rzekł do niego wezyr słowo dostojne i bardzo głębokie:

- Jeśli jesteś tym, którego szukam, pójdź za mną.

- Zapewne jestem tym, jeśliś mnie znalazł - odrzekł mu mędrzec i wytarłszy ręce o długą brodę, szedł pokornie.

*

Kalif Al Mahar przyglądał się długo i bardzo pilnie owemu człowiekowi z dalekiego kraju, rozpatrując, po czym można poznać mędrca, jeśli się nic nie wie o jego mądrości nie

mógł jednak niczego znaleźć na tej starczej twarzy, co by było inne niż u ludzi tępego umysłu.

Był to człowiek, który miał więcej lat niźli ich można wyliczyć szybko, trzy razy w piersi nabrawszy oddechu, czaszkę zaś obraną z włosów tak starannie, jak szarańcza z liści obiera drzewo lub też podskarbi kalifa, podatki ściągający, biednych ludzi obiera z dobytku; żaden zaś pancerz z świetnej damasceńskiej blachy, która czasem zalśni jak słońce (czasem zaś błyśnie trupią sinością, jakby w złotych jej żyłach zakrzepła sina krew), tak nie błyszczy, jak czaszka owego zamorskiego mędrca; żaden uczony pisarz w aleksandryjskiej bibliotece, chociażby bardzo w ręku silny, nie jest w stanie wypolerować tak świetnie oślej skóry, na której potem jak kwiaty cudowne zakwitną słowa - jak los wygładził czaszkę owego człowieka. Broda jego bardzo już długo musiała być białą, skoro się na jej siwiźnie uczyniły długie pasma żółte, albowiem i siwizna więdnie, jeden zaś tylko Allach ma brodę wieczyście białą, z śnieżnobiałych, w pukle się wijących południowych chmur.

Spojrzał Al Mahar w oczy mędrcowi i nic w nich nie ujrzał, jak niczego nie ujrzysz na dnie bardzo głębokiej studni, gdzie śpi wilgotny mrok i opita wodą cisza; zdawało się przez chwilę kalifowi, że z oczu mędrca padła na jego źrenice ciemna smuga, jakby cień, tek że mu się czarno uczyniło na duszy, a po kościach przebiegł zimny dreszcz, jak się to dzieje w pustyni, kiedy spośród żarom płonących piasków powieje nagle zimna, niepojęta groza gdzieś pod wydmą mieszkająca lub też czająca się w kadłubie padłego wśród piasków wielbłąda. Czym prędzej tedy spojrzał Al Mahar na usta starego człowieka i ujrzał na nich uśmiech tak słodki, jaki tylko sączą z ust dzieci. Zdumiał się tak, jakby z podziwu wyjść nie mógł, ujrzawszy owiniętego w białe płótno trupa, który się uśmiecha żywym uśmiechem; patrzył tedy długo i widział, że owa niezmierna słodycz uśmiechu nie spływa ani na jedno mgnienie z uwiędłych warg starego człowieka i zrosła się z nimi, jak się kwiat zrasta z ziemią albo serce z sercem, i tak jest przywiązana do cichej twarzy mędrca jak dziecko do matki lub przyjaciel do przyjaciela, kiedy wodą polali swoje miecze i przysięgli sobie miłość.

- Rzekł tedy kalif:

- Dziwną twarz dał ci Allach, który czyni rzeczy dziwne. Dlaczego się uśmiechasz?

- Jakżeż się nie mam uśmiechać - odrzekł mędrzec - kiedy patrzę w słońce?

- O mnie mówisz?

- Wielki jest twój rozum kalifie, gdyż od razu pojąłeś moje słowa!

I znowu się uśmiechnął ów stary człowiek uśmiechem dziecka, które ma trzy lata i rozumie mowę kwiatów, ptaków, kamieni i słońca, zaś kalif rozważał, że słowa starego

człowieka są piękne jak hurysy i mają w sobie wiele znaczenia, dlatego więc ozwał się łaskawie:

- Jesteś człowiekiem tak rozumnym, że mógłbyś być kalifem…

- Gdybym nie był mędrcem, chciałbym być sułtanem.

- Czymże zaś chciałbyś być, gdybyś był kalifem?

- Chciałbym być znowu człowiekiem rozumnym.

Słowa te wydały się niejasne Al Maharowi i nie mógł dopaść ich znaczenia, jak nieraz wojownik na zmęczonym bachmacie dopaść nie może drugiego, co na szybszym i bardziej rączym uchodzi przed nim w pustynie. Wpatrywał się więc w roześmianą twarz mędrca i w ten uśmiech, co dookoła obojętnych jego krążył oczu, jak płocha niewiasta, co obnażywszy się, ze wszystkich stron świątobliwego obchodzi męża, pragnąc go uwieść, i czyni to nadaremnie. Potem mówił:

- Każę ci dać wspaniałe szaty i turban z jedwabiu, każę ci także dać miecz, abyś się mógł obronić przed złym człowiekiem…

Nie skończył jeszcze mówić Al Mahar, a ów się już śmiał bardzo głośno, prawiąc:

- Czy każesz mi także dać kobiety?

- Dam ci ich dziesięć bardzo pięknych, każdą zaś bez znaku na ciele i bez zmazy…

Czemu się śmiejesz?

- Chcę cię bowiem prosić, byś mi podarował rzezańca.

- Czemu go chcesz mieć?

- Więcej bowiem z niego będą miały pociechy owe cudne hurysy niźli ze mnie. Czemu je chcesz krzywdzić?

Zrozumiał w lot Al Mahar, co przez to chciał powiedzieć ów stary człowiek, i bardzo się w sercu nad mm ulitował, aby zaś przecież łaskę mu swoją okazać, obwieścił mu, że go czyni pierwszym w państwie sędzią, aby sądził wedle wielkiego swego rozumu.

- Złe czynisz, kalifie - rzekł mu ten tylko bowiem człowiek głupi a chytry może rozeznać dobro od złego, sam zaś winnym będąc, szybko cudzą odkryje winę, wiedząc o wszystkich sposobach, którymi grzech przykryć można jak stertą uschłych liści. Cóż ja jednak uczynię?

- Sądzić będziesz, a Allach rozezna prawdę.

- Czy nie wiesz, że Allach jest to człowiek stary, który się nie spieszy? A kiedy ja rozkażę powiesić niewinnego, czy go potem Allach odetnie od powroza?

- Mowa twoja jest śmiała - rzekł mu kalif - i słuchać mi się jej nic godzi. Rozkazuję ci tedy, abyś rozpoczął sądy, kiedy zaś ujrzę twój wielki rozum, przyzwę cię i zapytam o wielkie sprawy, które nie są z tego świata. Odejdź w spokoju!

Pokłonił się mędrzec Al Maharowi i odszedł; zdawało się zaś, że którędy przechodzi, tam się czyni widniej i mrok szybko pełznie w kąty, kędy już wzrok nie sięga. Dziwili się wszyscy niepomiernie, skąd taka wielka łaska

spadła na tego oberwańca, który dlatego tylko plugawego nie ma na głowie robactwa, że nie ma włosów, zaś dziurawa szata dlatego zeń nie spada, gdyż się dziwnym sposobem trzyma na wystających kościach. Splunął poza siebie niewolnik, który mu na srebrnej misie przyniósł jadło; temu rzekł ów starzec:

- Jeśli miłujesz mądrość, weźmij to jadło i przynieś mi dwa daktyle i czarkę wody, ja zaś nikomu nie powiem, że ty zjadłeś potrawy dla mnie przeznaczone.

Kiedy mu zaś niewolnik przyniósł skromne jadło, zapytał go mędrzec:

- Gdzie stoi dom twojego ojca?

Niewolnik spojrzał na niego ze strachem, potem rzekł:

- Nad Nilem, panie…

- Masz rany od plag na grzbiecie, czy bardzo cię bolą?

- Pieką mnie od wielu dni.

- Tedy ci powiem: Spójrz na niebo, które jest błękitne, i powiedz mi, czy twoja rzeka nie jest taka błękitna jak niebo?

Niewolnik podniósł głowę i długo, długo patrzył; i czy od patrzenia w promienny strop niebieski, czy od wielkiego bólu, nie wołane łzy zaczęły płynąć po śniadych jego policzkach, a on je poczuł wtedy dopiero, kiedy mu napłynęły aż do ust i osiadły na wargach jak gorzki posmak trującego ziela; wtedy powoli oderwał wzrok od firmamentu i patrzeć począł przez łzy na starego człowieka, który uśmiechał się jak dziecko, a wkrótce z soli tych łez urodzony, z ponurych i zamglonych oczu niewolnika spłynął mu na twarz uśmiech, dobry i łagodny.

- Widziałem rzekę moją, panie! - szepnął i osunąwszy się na kolana, całował chude ręce starego człowieka, ten zaś nachyliwszy się mówił:

- Ból ukryj głęboko w piersi, a twarz pomaluj uśmiechem; mniej będziesz cierpiał i mniej cię będą bili, nie chce bowiem nikt sługi, co ma wzrok ponury. Szanuj nienawiść swoją i noś ją na dnie serca, nie na ustach, abyś jej nie wykrzyczał i nie wyśpiewał zbyt prędko… Pożywiłeś się jednym uśmiechem na długi czas… odejdź, odejdź!…

Mówiąc to miał niebo na obliczu, jasne i jak w dzień wiosenny roześmiane, że oczu nie było widać, gdyż]'e powiekami nakrył i tak pozostał w głębokiej zadumie, nieruchomy jak posąg z żółtej uczyniony kości, jak gdyby usnął lub umarł z pogodą na obliczu, co się przydarza ludziom znającym śmierć nie tylko z imienia, lecz i z twarzy, więc ich nie trwoży. Kiedy śmierć przyjdzie do takiego człowieka, kłoni mu się głęboko do kolan i mówi: „Pójdźmy już!" - On zasię pyta: ?Czy daleko?" „Jeszcze dalej…" - odrzeknie mu śmierć. ..?Pozdrowiona więc bądź w domu moim jak siostra, co brata swego przyszła nawiedzić! Pozwól mi tylko, o śmierci, uśmiechnąć się". Wzdryga się śmierć, na uśmiech bowiem trzeba czekać nieraz lat sto albo nieraz l więcej, więc mu patrzy w oczy długo i badawczo, waży w myśli, potem mówi: „Widzę duszę twoją, a na dnie jej samym jest uśmiech, przeto go wydobądź z toni, jak rybak perły wynosi z topieli, i umrzyj…" - Tedy umiera ten człowiek jak dziecko, któremu się śnią kwiaty i błękitne ptaki, słońce albo serce matczyne.

Jak ów umarły wyglądał mędrzec w tej chwili, z twarzy zaś padł złoty odblask na wielką nędzę jego ciała i jego szat, tak że cały był w pozłocie i jakby wyniesiony ponad ziemię. Takim go znalazł wielki wezyr, który przyszedł, aby w imieniu kalifa wezwać mędrca na sądy; pochylił się nad nim i zanim dotknął jego ramienia, rozmyślał:

- Możeż to być, aby ten ogon wielbłądzi był mędrcom, który sądzić ma ludzi dostojnych? Tak to będzie, że rzezimieszek, co ukradł muła, i przez niego będzie sądzony, w pysk mu plunie i prosić będzie, aby go powieszono bez sądu, byle z ust tego zdechłego szakala nie słyszeć wyroku. Kalif rozum zgubił dawno, teraz zaś zgubił oczy albo mu je ukradł szeik, który kradnie wszystko, co tylko błyszczy… Ciekaw też jestem (myślał wezyr uśmiechając się z zadowoleniem), co byś, wieprzu, kazał uczynić ze mną, gdybyś miał nade mną władzę?

- Kazałbym cię powiesić! - rzekł nagle mędrzec, który oczy otwarł przed chwilą, od powiadając na pytanie, które chyba Allach słyszał (gdyż dzień był pogodny i żadnej na świecie nie było wrzawy), lecz go nie mógł słyszeć on, nie było bowiem powiedziane słowami, lecz wyrażone wielką tajemnicą myśli.

Zatoczył się wielki wezyr, jak raniony z nagła zwierz, i pobladnął tak bardzo, jak trwożliwa kobieta, której nagle odkrył ktoś łono; oczy mu wyszły na wierzch, usta zaś otwarły się szeroko, tak że można było ujrzeć dwa zielonego koloru zęby, nie tak piękne jako dwa szmaragdy, lecz przez swą opuszczoną samotność dostojne.- Zmartwiał w trwożliwym ruchu i tak trwał długo, zanim jeden zielony ząb uderzył o drugi, chcąc szczęknąć; słychać było jednak tylko charczenie z gardzieli, jakie często wśród księżycowej ciszy pustyni wydaje

parszywy szakal, dławiąc się kością zdechłego konia, potem dopiero jedno słowo, drugie z otchłani ciągnąc za turban, dobyło się na wargi.

- Co… wiesz… o mnie?

Uśmiechnął ale stary człowiek.

- Łaski! - jęknął wezyr - słyszysz szelest myśli i jesteś najmędrszym wśród ludzi.

Oo! oo! - lecz ja myślałem tak umyślnie (dodał chytrze), chcąc się przekonać, czy naprawdę, jak słyszałem, czytasz myśli i widzisz wnętrze serca; spojrzyj jednak głębiej jeszcze, a ujrzysz, że mam dla ciebie wielką cześć i gotów ci jestem dać dziesięć nie obrzezanych cekinów, abyś wiedział, jak cię miłuję.

- Wielki wezyrze - odparł mu mędrzec nie widziałem twoich myśli, lecz widziałem twoje oczy, ty bowiem myślisz oczyma. Powiedz mi teraz, po co przyszedłeś?

- Kalif ciebie przyzywa, abyś rozsądził wielką sprawę; jeśli jest taka twoja wola, podnieś szlachetne swoje ciało i każ mu się udać na dziedziniec, gdzie władca mój pali fajkę i głęboko rozmyśla. Ostrzegam cię, że jest zły, a oczy jego ciskają błyskawice, kazał bowiem przed godziną zarżnąć kucharza, znalazłszy w smakowitej potrawie szmat starego turbanu żółtego koloru, którego najbardziej sułtan nie znosi. Pójdź ze mną, panie!

Rzekłszy to, zgiął się w pokorze i szedł naprzód, za nim zaś stąpał stary człowiek, niosąc na twarzy swój uśmiech, jak zbiedzony niewolnik, co niesie szczęśliwą wieść swojemu panu, strapionemu bardzo. Ujrzał kalifa siedzącego z pochyloną głową, nad którą sługa powiewał ogromnym wachlarzem strusich piór, odpędzając słońce i muchy; wielu dookoła stało dostojników pysznych bardzo i ‘srogich, każdy zaś miał diament w spięciu turbanu albo inny bezcenny kamień, jak gdyby słońce rozbili młotem na okruchy i każdy jedną słoneczną wziął część. Wszyscy „wydęli usta z wielką pogardą na nowego patrząc ulubieńca, co się właśnie zbliżył do pańskiej osoby bez trwogi na twarzy i czci mu nie oddawszy w pokłonie, rzekł:

- Oto jest sędzia - kalifie, każ teraz ze swego orszaku wystąpić złoczyńcom.

Słysząc słowa tak bezczelne, ten i ów sięgnął po kindżał, inny zaś począł targać czarną brodę, jak wiejska kobieta targa len, wielu jednak spojrzało z trwogą na kalifa, przybladłszy. Temu się jednak podobały owe słowa, gdyż ? wielki kłąb dymu wypuścił z ust, a z dymem te pomieszał słowa:

- Sądzić będziesz w moim obliczu pięć niewiast, które były w haremie sługi mojego Hassana.

- Czemuż ten ich nie osądził, jeśli uczyniły cokolwiek złego?

- Albowiem się obwiesił z rozpaczy; kazałem jednak już umarłemu dać sto bambusów, albowiem nie zapłacił był podatku, co powinien był uczynić przed śmiercią.

- Cóż zaś uczyniły jego żony?

- Pięć żon Hassana oddało sromotnie swoje ciało innemu, co może zaświadczyć czcigodny Abd ul Moshed, który się jednak nie zjawił, dziwnej bowiem dostał choroby: oto się zamknął w stajni ze swoim osłem i z nim tylko rozmawia, zaś od czasu do czasu wyrywa sobie brodę, niezmierną jakąś tknięty rozpaczą. Czy pojąłeś sprawę?

- Nie mógł jej pojąć Hassan i dlatego się obwiesił, lecz nie moje to były żony, więc ją rozumiem i chętnie rozsądzę. Gdzież są owe gołębice, kalifie?

Skinął Al Mahar i wiele nie upłynęło czasu, a stawiono przed zgromadzeniem pięć niewiast, przy każdej zaś stało dwóch wielce rosłych pachołków; twarze miały zasłonięte, zaś oczy tylko widoczne, bardzo czerwone, zapewne od płaczu, chociaż zazwyczaj kobieta i płacząc, płakać potrafi całą postacią, rękoma, piersią i głową, lecz rzadko bardzo oczyma, właśnie aby nie były potem czerwone.

Usiadł naprzeciwko nich dostojny mędrzec i mierzył je oczyma, co i one z nim czyniły, dziwiąc się bardzo, jak może być sędzią człowiek tak łagodnie patrzący i z takim miękkim, słonecznym uśmiechem na twarzy; tym większe było ich zdumienie, kiedy się ozwał jego głos łagodny, jakby płynął z serca, pełen wonności i balsamu. Rzekł stary człowiek:

- Wszystko to jest jedno, jak się nazywa kobieta, dlatego nie pytam was o imiona ani wam też powiem, że musicie umrzeć wedle prawa, albowiem o tym zapewne wiecie. Jeśli jest taka łaska najjaśniejszego sułtana, tedy pomyśli on sobie: Zdradliwa kobieta umarła już, chociaż żyje, więc nie potrzeba jej karać śmiercią. - Może on sobie i tak pomyśleć w wielkiej duszy: Gdyby od początku świata istniała kara śmierci dla kobiety wiarołomnej, czyżby mi została dotąd choć jedna na pociechę moich dni? - A jeśli łaska jego jest niezmierzona, tedy pomyśli on sobie po raz trzeci: Cóż mnie obchodzi parszywa owca i taka niewiasta, która się dopuściła zdrady?

Milczał wielki Al Mahar, słuchając ciekawie słów sędziego, i nie miał nic przeciwko nim: sądził tylko, że tak właśnie myśleć był powinien, jeśli zaś tego nie uczynił, to tylko z powodu nadmiernej spieki, gdyż słońce dnia tego oszalało; słuchał przeto dalej w milczeniu, podobnie jak jego orszak, mędrzec zaś, wygładzając uśmiechem każde swoje słowo, mówił dalej:

- Z kobietą wiarołomną rozmowę wieść może tylko szakal albo inne stworzenie nieczyste, dlatego też uważcie, że najjaśniejszy kalif mnie do tego wybrał, zaś ani on, ani nikt

z jego dostojnych nie pokalał się, pytając was o winę; potem zaś obmyją wodą oczy, gdyż zbyt długo na was patrzyły. Mówię wam przeto: Żadna z was nie umrze w haremie i nie zostanie pogrzebana pod cyprysem, jak się to czyni z matroną, co strzegła swojej czystości; kto was sądzi, źle czyni, bo traci czas nadaremnie, który by mógł poświęcić na rozmyślanie lub na inną rzecz roztropną. Jednak sędzia sprawiedliwy wszystko uczynić powinien, aby wyrwać złoczyńcę z rąk prawa, jakby z paszczy lwa, nie po to bowiem jest sędzią, by pędził na śmierć biczem ze surowca, lecz by śmierci odejmował ofiarę. Prawo jest z kamienia i kamienne ma serce, tedy ten człowiek powinien mieć serce dobre i padłszy wielkiej piramidzie prawa do stóp, błagać powinien, aby wieczyście śpiące otworzyło oczy na jedną chwilę i spojrzało. Kto bystrymi patrzy oczyma, ten wiele zobaczy.

Rzekłszy te słowa, zwrócił twarz do kalifa i głowę skłoniwszy rzekł:

- Kobietom tym pisana jest śmierć, czy nie tak, o wielki Al Maharze?

- Rzekłeś! - odrzecze kalif.

Mędrzec ważył długo myśl jakąś, potem mówił:

- Kazałeś mi być sędzią, teraz zaś pozwól łaskawie, abym nim był. Zapytam każdą z tych kobiet po kolei, dlaczego dopuściła się zdrady, ty zaś mi przyrzecz, że tę puścisz wolno, która prawdziwą poda mi przyczynę.

- Jak poznasz, która mówi prawdę?

- Zapytam o to moich łat, a jeśli one jej nie rozeznają, zapytam mojej głowy; jeśli nie rozezna jej moja głowa, wtedy zapytam mojej duszy, która starsza jest ode mnie i od mojej głowy i pamięta narodziny księżyca i tę chwilę, kiedy na firmamencie były tylko dwie gwiazdy, co się potem rozmnożyły w wielki lud gwiazd. Uczyń mi tę łaskę, kalifie, abyś mi uradował serce.

Spojrzał Al Mahar po wszystkich i ujrzał twarze naznaczone litościwym uśmiechem i wielką w oczach wszystkich wesołość; poznał tedy, że snadnie może zezwolić, żadna bowiem z onych pięciu prawdy nie powie i wszystkie spotka kara słuszna i przykładna. Rzekł tedy:

- Przyrzekam ci!

Drgnęło w tej chwili pięć niewiast, piersi im zaczęły się podnosić wysoko, zaś oczy biegać niespokojnie, jak gdyby szukając ratunku lub ucieczki; widać też było, że nogi pod nimi drżą i załamują się im co chwilę w kolanach; tak wielbłąd, długą zmoczony drogą, pragnie upaść na kolana, zaś wielki strach przed biciem wciąż prostuje mu nogi.

Litościwie spojrzał na nie stary człowiek, potem mówił:

- Dzieje się tak zawsze, że jeśli kobieta powie prawdę, wtedy umiera, przeżyć nie mor gać strasznej tej chwili, dzisiaj się zaś stało, że ta żyć będzie, która powie prawdę, jako być

powinno, bo i przed gniewem Allacha prawdą się można zasłonić, kłamstwo bowiem jest to puklerz z koziej uczyniony skóry, która nie wytrzyma cięcia miecza i nie osłoni serca. Powiedz mi tedy ty, która jesteś wyniosła jak wieża minaretu, dlaczego się stało, że ciało twoje, małżonkowi twemu przynależne, Hassanowi, który się obwiesił, ofiarowałaś innemu, jakby to był zgniły daktyl, a nie ciało?

Niewiasta, do której zwrócone były mądre owe słowa, zachwiała się nagłe, a upadłszy na kolana, poczęła bardzo jęczeć, potem wydarłszy sobie kosmyk włosów, mówiła:

- Głodem mnie morzył ten człowiek tak, że byłam bez sił, kiedy mnie napadł obcy jakiś mąż i wziął mnie omdlałą. To jest prawda i mc więcej, sprawiedliwy sędzio.

Jak nieraz słońce chmurą się zaćmi i mrok jawi się na ziemi nie wiadomo skąd, tak pociemniała twarz starego człowieka, a uśmiech opadł z jego twarzy jak złota zasłona.

- Prawda twoja jest śmieszna - rzekł - zaś twoje ciało kłam zadaje twym słowom. Weźcie ją!

Dwóch straszliwych pachołków chwyciło tę kobietę, chociaż wrzask podniosła tak srogi, jak nie krzyczy szewc, któremu ukradziono jedwabne nawet pantofle; bardzo mało minęło czasu, a zaszyli ją w skórzany worek i uwiązali do niego kamień, potem, rozmachnąwszy się mocno, cisnęli ją w wodę, która bluznęła przerażona.

Druga z kobiet mówiła:

- Obił mnie Hassan poprzedniego dnia rzemieniem, uczyniłam to przeto z zemsty.

Zastanowił się mędrzec.

- Kobieta - rzekł - mszcząc się, uczyni nawet rzecz bezrozumną; może być, że sobie siekierą własną odetnie nogę albo zasypie sobie pieprzem oczy, aby mąż jej, co wiele za nią zapłacił cekinów, poniósł dotkliwą szkodę. Powiedz mi jednak, czy dopuściwszy się zdrady, powiedziałaś o tym Hassanowi, aby się smucił.

- Nie - odrzekła - bałam się bowiem, by mnie znów nie obił.

- Jakżeż tedy zemściłaś się na nim, kiedy on nic o zemście nie wiedział?

- Tak wielkiej do niego nie żywiłam złości, by się zaraz dowiedział… .

- Weźcie ją! - rzekł na to mędrzec i spuścił głowę na piersi, nie chcąc patrzeć, jak drugą z niewiast zaszywają w worek, aby ją i Jej prawdę wrzucić w wodę. Długa też upłynęła chwila, zanim stary człowiek zapytał oczyma trzecią z kolei, która zaczęła mówić szybko, jakby już wprzód ułożyła sobie słowa i nawiązała je na sznur pamięci jak bursztynowe paciorki albo jak się figi nawleka na giętki wiąz; słowo jej jedno goniło drugie, jak pies goni jelenia, wszystkie zaś były zdyszane i ociekały łzami jak potem zmęczenia.

- Panie - mówiła - klnę się na Allacha, że się długo broniłam, lecz oprzeć mu się nie mogłam, kiedy mii przyniósł diamentowy naszyjnik i tyle wielkich pereł, że ich zliczyć nie mogłam przez trzy dni i trzy noce.

Nadstawili wszyscy uszu dziwiąc się, sam kalif nawet spojrzał na nią nieznacznym wejrzeniem; mędrzec zaś popatrzył na nią litościwie, potem spytał:

- Czy to jest książę, czy brat kalifa, czy to Ali Baba, najwięcej mający skarbów?

- Nie byłabym spała ze zbójcą… Jest to człowiek uczciwy.

- Czy nie wiesz, czym się trudni?

- Wiem dobrze, człowiek ten, który był przyczyną mego nieszczęścia, sprzedaje kozie mleko pielgrzymom, którzy przechodzą nie opodal miasta.

- Jak tedy długo liczyłaś perły?

- Przez trzy dni i przez trzy noce…

Wszak ci to już powiedziałam, panie…

- Weźcie ją!… - rzekł mędrzec i uniósłszy połę szaty, otarł pot z czoła, koloru ciemnego bursztynu, po czym odetchnąwszy, wzniósł oczy na niebo i poruszał nieznacznie wargami jak człowiek, który się modli w ciszy; słońce mu padło wprost na twarz, więc oczy powoli przymknął i nie mówiąc już nic, ręką tylko dał znak, aby mówiła czwarta.

Ta mówiła głosem cichym i drżącym:

- Uczyniłam rzecz złą, gdyż bardzo miłowałam Hassana, mego małżonka; umyśliłam sobie, żeby innego zaznać mężczyzny, abym mogła potem powiedzieć, kiedy przyjdzie do mnie Hassan, niezmiernie łaskawy: Myślałam, że inny jest lepszy, a oto ty jesteś ponad wszystkich! Sądziłam, że mu będzie miło usłyszeć takie słowa i ze dumny będzie, iż on jeden jest dla mnie na świecie…

- Weźcie ją! - rzekł teraz głośniej niż poprzednio mędrzec i zadrżał na ciele, słysząc jej niezmierny lament i narzekanie; zadrżał zaś po raz drugi, usłyszawszy cichy śmiech wielu dostojnych, którzy zmęczeni już byli widokiem, a uszy mieli pełne krzyku i płaczu owych niewiast kłamliwych, -którym lepiej by było, by się były nie rodziły.

Kalif się jednak nie poruszył z miejsca, więc czekali cierpliwie, litując się w duszy nad owym nieszczęsnym sędzią, który prawdy szukał w niewieście, i myśleli sobie, że tak samo człowiek głupi szuka wody na środku pustyni albo diamentu w kałuży lub też gładzi ręką węża po grzbiecie, uczone mówiąc do niego słowa. Uciszyli jednak szepty widząc, jak się stary człowiek podniósł z trudem i podszedł ku ostatniej kobiecie, drżącej nieznacznie; głowę miała opuszczoną ku piersi, a oczy zasłonięte powiekami i stała bardzo cicha nie płacząc.

Rzekł jej:

- Na dnie głębokiej wody szukają teraz prawdy twoje siostry, za późno spostrzegłszy, że prawda mieszka aż tak głęboko. Czy słyszałaś, jak płakały?

Kobieta nie odrzekła ani słowa.

- Allach teraz płaczu ich nie usłyszy ani ich oko Proroka już nie dojrzy; jest jeszcze jeden skórzany worek, któremu lepiej by było, aby w nim noszono ośle mleko albo wodę z cysterny, nie żeby ciebie w nim zaszyto. Czy powiesz prawdę, żono Hassana?

Kobieta zacięła usta i nie odpowiadała.

- Och! - westchnął mądry, stary człowiek. - Złe jest, kiedy kobieta mówi, gorzej jest jednak, kiedy milczy. I to ci jeszcze powiem, że mniej ten kłamie, który wiele mówi, stokroć zaś więcej kłamie ten, który nie mówi ani słowa. Wtedy przed samym sobą nawet mówi nieprawdę i sobie samemu nie wierzy. Czemu mi nie odpowiadasz?

Ona odetchnęła głębiej, lecz nie powiedziała nic.

- Niecierpliwi się kalif, a poruszona woda uspokoiła się już dawno i łacno można ją zmącić znowu; boję się, aby kalif nie dał znaku tym, co cię udźwigną bez -trudu w silnych ramionach i cisną daleko od brzegu. Czy powiesz prawdę? Dlaczego oddałaś się człowiekowi, który nie nazywał się Hassan ani nie był do niego podobny, ani cię nie kupił, ani nie znał twojego ojca, żeby cię mógł od niego dostać w podarunku?

Kobieta nie odrzekła ani słowa. Wtedy stary człowiek opuścił ręce, jak czyni drwal, co się długo zmagał z drzewem, potężnie wrosłym w ziemię, którego poruszyć nie zdołał, albo zgoła jak człowiek, którego osioł, stanąwszy na moście, kroku w przód uczynić nie chce, choć go pań jego silnie w ziemię się zaparłszy - ze wszystkich swoich sił ciągnie za uzdę. Jakby jednak za wszelką chciał ją uratować cenę, skinął na sługę i szybko mu rozkazał, aby rozciągnąwszy niewiastę na ziemi, obrał z szat tę część ciała, której jako żywo - nikt dotąd nie oglądał prócz Hassana i owego nieznanego człowieka, co kozim handluje mlekiem.

Widząc, co się stało, krzyknęli wszyscy wielkim głosem, zaś kalif rzekł srogo:

- Co chcesz uczynić?

- Każę jej dać plagi, aby przemówiła. Szmer się podniósł, zaś szeik ul Islam, mąż w sprawach tych niezmiernie biegły, rzekł donośnym głosem:

- Wiedz, stary człowieku, że zakazanym jest i nie wolno obnażać niewiasty obcemu mężczyźnie!

- Panie - odrzekł mu mędrzec - wiem, że nie wolno odsłaniać twarzy, gdyż tak każe Koran, lecz przyjrzyj się - czyż to jest twarz, com kazał odsłonić?

- Hę? - zdumiał się szeik.

Zaś kalif, na którego spojrzeli wszyscy czekając, co na to powie, rzekł po namyśle:

- Zaprawdę, mało rzecz ta jest podobna do twarzy.

Szmer nagły uwielbił wielką mądrość kalifa i wraz wszyscy cisnąć się poczęli, aby ujrzeć z bliska widok ten rzadki a piękny; oczy wychodziły im z oprawy, zaś oblicze niektóre wyglądało jak w zachwyceniu; ten i ów nie śmiał odetchnąć, jakby się trwożył, że oddechem widok ten spłoszy, inny zaś mniemał, że jest w pustyni, która podróżnika rajskim mami obrazem na zatracenie go wiodąc; zaś basza jeden, w leciech już bardzo podeszły, otworzył szeroko usta, a na brodę sączyła mu się ślina z plugawego pyska.

Mędrzec dał znak chudą dłonią, a bambus spadł w tej chwili jak piorun z wprawnej ręki pachołka, który tak był przerażony, jakby to nie on, lecz jego bili, więc się zapamiętał ze strachu i bił potężnie i długo, aż się wszystkim rozszerzyły usta w tłustym, obleśnym uśmiechu.

- Odejdź precz! - zawołał wreszcie stary człowiek i chciał dźwignąć ją z ziemi, lecz mu sił nie stało; więc się ona z trudem podniosła sama, lecz nie mogła powstać, tylko klęcząc chwiała się, słabnąca; ujął ją tedy mędrzec za ręce i głosem tak bardzo łagodnym, jakim matka mówi do dziecka, rzekł jej jedno tylko słowo:

- Odpowiesz?

- Tak!… - szepnęła ona.

- Powiesz prawdę, którą zaprzysiąc możesz na Allacha?

- Powiem ją…

- Uciszcie się! - zawołał ktoś w gronie dostojnych - kalif chce słyszeć.

A obcy mędrzec zapytał ją głosem dziwnie miękkim:

- Odpowiedz mi, dlaczego oddałaś się człowiekowi obcemu?

Ona dyszała ciężko przez chwilę, potem rzecze:

- Przysięgam ci na Allacha, na matkę moją i na mojego ,ojca, że nie wiem, dlaczegom to uczyniła…

- Co ona mówi? - zapytał kalif zdumiony

- Mówi, panie, że nie wie, dlaczego to uczyniła…

Wszyscy jednak spojrzeli na mędrca, któremu znów słoneczny uśmiech spłynął na twarz; ręce podniósł w górę i rzekł donośnym głosem:

- Kobieto, powtórz to raz jeszcze.

- Nie wiem, panie, dlaczegom zdradziła męża mojego, Hassana… Każ mnie zabić…

W tej chwili zwrócił się mędrzec do kalifa i rzekł wśród wielkiej ciszy:

- Oto ta kobieta, najjaśniejszy sułtanie, powiedziała prawdę i będzie żyła, jako przyrzekłeś.

- Widzę, że się radujesz - rzekł kalif cóż ci ona?

- Nie nią się raduję, panie - odparł stary człowiek - lecz tym, że w jej prawdzie ja prawdę znalazłem i wiem teraz, że kobieta może uczynić wiele rzeczy i że może uczynić straszne rzeczy, lecz jako żywo nigdy nie wie, dlaczego to czyni.

- Niech odejdzie w spokoju - rzekł kalif wśród wielkiej ciszy, albowiem zdumienie wszystkim odebrało mowę; myślał nad czymś Al Mahar bardzo długo, co było widać po jego czole, które się marszczyło jak morze, zanim wybuchnie burzą, którą gotuje gdzieś na dnie przepaścistej swojej piersi; słychać było tylko miękki szelest strusich piór, które wielkim bogactwem powiewały nad zadumaną głową sułtana, i szybki oddech mędrca, który się bardzo wydawał zmęczony.

Zaś kalif rzekł, nachyliwszy się ku niemu:

- Zrozumiałem jej odpowiedź i widzę jasno, że powiedziała prawdę. Teraz też widzę, że więcej wiesz od innych i że znasz takie ścieżki, po których nikt nie chodził. Jutro, kiedy się dzień skończy, a noc sięgać będzie już dachu mego pałacu, przyjdź do mnie, a usłyszysz to, co ja. jeden wiem tylko. Czy wiesz, co ujrzysz jutro w nocy?

- Nie wiem, najjaśniejszy sułtanie.

- Ujrzysz jutro przy świetle gwiazd duszę kalifa Al Mahara…

Jest to nad podziw, jak wiele rzeczy na świecie jest podobnych do wielbłąda, on zaś nie jest podobny do żadnej; bo wszak ci i ta noc, która właśnie nadchodzi, chociaż ma tysiąc i jeden kształtów, jednak postać wielbłądzią ma najwyrazistszą, może dlatego, że wieje od strony pustyni. Jak ów zwierz szlachetny, chrapy rozdawszy, wielkimi bieży krokami, a wiatr szybko jak wąż pełznie przed nim, tak noc, z ławic piaszczystych się ruszywszy, bieży pędem dwa olbrzymie garby chmur dźwigając na grzbiecie i pyszny, naszywany gwiazdami palankin nieba, z czarnego uczyniony jedwabiu. Oko ludzkie nie dojrzy, kto w jego siedzi cieniu, dziwnym by zaś było, gdyby to nie była najwspanialsza hurysa, woniejąca zapachem fiołków, owa, co Prorokowi umila słodką bezczynność raju i którą on najczęściej nawiedza.

Z dala już dojrzeć można, jak olbrzymi wielbłąd nocy rwie naprzód, tak że od nadmiernego pędu czasem zachwieją się czuby palm, a czasem zgaśnie jakieś światło, z nagła wiatrem zdmuchnięte; dawno już muezin odśpiewał swoją modlitwę, tak słodką jak wspomnienie nieba, po czym długo patrzył oczyma, które nabiegły łzami ze wzruszenia, w tę stronę, w którą odeszło słońce, ów nabożny pielgrzym, co z rozświetloną i radosną twarzą z Mekki podąża do Medyny. Noc poczerniała już zupełnie na twarzy i ustając w gonitwie, wić się poczęła tuż przy ziemi, tak że za chwilę można było usłyszeć i uczuć jej oddech gorzcy, Jak oddech kobiety w czasie wielkiej rozkoszy, coraz powolniejszy, aż wreszcie wielka cisza,

na wskroś przepojona mrokiem, wciskać się poczęła, jak woda wielkiej powodzi, każdą szczeliną najpierw do domów, potem do piersi ludzkich. Stało się wreszcie, że i największy zbrodniarz, ciszą pijany jak haszyszem, usnął na łożu, a nóż mu się wysunął z dłoni.

W tym to czasie obcy mędrzec wszedł cicho do komnaty, w której, z głową pochyloną na piersi, siedział kalif i rzekł:

- Chciałeś mnie widzieć, Al Maharze!

- Rzekłeś - ‘szepnął kalif - lecz ja ciebie chciałem raczej słyszeć.

- Czy nie lepiej jest słuchać nocy, która jest mądra?

Kalif się zamyślił.

- Nie - odrzekł po chwili - noc bowiem nie leczy, lecz zabija. Usiądź przede mną.

Mędrzec uczynił wedle rozkazania i czekał w wielkim poszanowaniu, co mu powie ten władca dostojny, którego imienia pełną była cała ziemia i któremu się przypatrywało słońce, kiedy jechał na białym bachmacie. Kalif jednak milczał bardzo długo, nie wiadomo, czy dlatego, że wielką jakąś myśl ważył w sercu, jak wojownik waży najpierw w dłoni oszczep, zanim go rzuci, aby tym snadniej w cel ugodzić, czy też dlatego, że szukał nadobnych i bezcennych słów w pamięci, jak bogaty człowiek szuka w sakwie diamentów i ametystów, aby nimi olśnić nędzarza; nie powiedział jednak ani mądrze, ani pięknie, lecz dziwnie.

- Cudzoziemcze - rzekł - jestem bardzo nieszczęśliwy.

Ten zaś na to:

- Każ zapalić więcej lamp, a nie będziesz widział swego nieszczęścia, które widzisz w ciemności. Jak wygląda twoje nieszczęście, kalifie? -.

- Ma zielone oczy jak pantera i czarne jest jak ona; widzę je wyraźnie, kiedy mam oczy otwarte, zaś jeszcze bliżej je widzę, kiedy je zamknę. Czy moje nieszczęście nie jest dziwne?

- Ty mu się dziwisz, więc jest dziwne; twoje, nieszczęście jest śmieszne, Al Maharze.

- Co rzekłeś?

- Że twoje nieszczęście jest małe, jak ziarnko piasku.

- Nic nie ważysz słów, które rzucasz w ciemność, stary człowieku. Jak może być małym nieszczęście kalifa - czy kalif to jest handlarz kawy albo derwisz?

- Tyś powiedział, nie ja. Jednakże mniej jeszcze znaczy kalif, który jest nieszczęśliwy, bo nie ma nikogo, kto by mu mógł posłać zielony sznur, aby się obwiesił.

Nie można było rozpoznać wśród nocy, czy to lampa zamigotała jaśniej, czy też kalif pobladnął, to jednak można było widzieć wyraźnie, że dłoń jego ujęła nagłym ruchem kindżał. Widział to mądry, stary człowiek, lecz nie drgnąwszy nawet rzekł:

- Szukam śmierci od lat tak wielu, że zapomniałem ich liczby, czemu mnie nią chcesz przerazić, Al Maharze? Tylko człowiek głupi a zły lęka się śmierci albo dziecko, albo też kobieta; jeśli tedy mnie nią chcesz przelęknąć, wtedy pomyślę, że ty się jej lękasz. Czyś mnie po to przyzwał, abym to ujrzał?

Kalif oddychał bardzo szybko, gdyż mu gniew poruszał płuca, jak prędki kowal zbyt silnie porusza miechy, nie bacząc, że mu od nadmiernego gorąca krew zbytnio napływa do serca. Gorące też były jego słowa, kiedy mówił:

- Wyzywasz moje ręce, które są prędkie.

Czemu to czynisz? Słuchaj, stary człowieku: wiem, że masz mądrość, jakiej nie ma wielu, i dlatego chcę z tobą mówić łaskawie, ty zaś, wysłuchawszy mnie, powiedz mi, co uczynić należy, aby mi do serca napłynęła radość razem z krwią. Wiedz jednak, że wielu mnie już słuchało, lecz z tych nie żyje już ani jeden.

- Płacisz jak kalif… - przerwał mu mędrzec.

- Ale nagradzam też jak kalif. Czemu się - uśmiechasz?

- Czy nie zauważyłeś, że uśmiechałem się i we dnie?

- Widziałem to i pomyślałem sobie: Mądrość daje pogodę ducha, zasię pogoda ducha daje szczęście. Bardzo tedy musisz być szczęśliwy, ty, który ciągle masz uśmiech na twarzy. Czy dobrze pomyślałem?

Mędrzec nie odrzekł nic, tylko dziwnymi spojrzał na Al Mahara oczyma i uśmiechał się tak przejmująco, że się wyobraźni kalifowej, rozpalonej nocą, wydało, jakby się to zaśmiał człowiek umarły.

- Kto ty jesteś? - spytał.

- Jeszcze me wiem - odrzekł stary człowiek. - Jeśli umrę przed tobą, przyjdę do ciebie nocą i powiem ci to, kalifie Al Maharze.

Powiedział to głosem bardzo smutnym, raczej do śpiewania podobnym niż do zwyczajnej mowy.

- Mówisz ciemno, jak na mędrca przystało…

- To noc winna temu, że słowa moje są ciemne, albo też ty je źle słyszysz, gdyż są bardzo ciche. Widzisz jednak mój uśmiech?

- Widzę… Nie wiem jednak, gdzie się rodzi ten uśmiech, który nigdy nie umiera?

- W bólu.

- Jak rzekłeś?

- W bólu się rodzi i w męce.

- Jeśliby tak było - rzekł kalif - miałbym go na obliczu, gdyż bardzo cierpię. Mój ból jest z serca i z duszy…

- Twój ból jest z żołądka i z wątroby.

- Bismillach! - jęknął Al Mahar zdumiony

- Cóżeś ty wycierpiał, kalifie?…

- Bismillach! - powtórzył Al Mahar mowa twoja jest skowytem psa, jeśli mi takie zadajesz pytanie; wiedz, głupcze, że w całym moim państwie nie ma człowieka, który by tyle, co ja, wycierpiał, zaś moje państwo jest tak wielkie, że trzeba czterystu sześćdziesięciu trzech dni, aby szybko jadąc, objechać je dokoła na rączym wielbłądzie. Cierpię od wielu dni i nie wiem, co to jest radość ani uśmiech; mam ból w duszy od wielu księżyców i wszyscy to mogą zaświadczyć, wszyscy bowiem widzą, że mam twarz niezmiernie smutną i Wszelka odeszła mnie uciecha. Nie widzisz tego, gdyż oczy twoje są stare, a smutek nie świeci i nie błyszczy, aby go i ślepy mógł ujrzeć, lecz jest szary jak popiół w miejscu, gdzie było ognisko. Czy mnie pojąłeś?

- Nie pojmujesz ty siebie, jakże ja mam ciebie pojąć, kalifie? Kiedy zaczęło się twoje cierpienie?

- Nie wiem - odrzekł Al Mahar - przyszło znikąd i nie wiadomo kiedy.

- Czy myślałeś może przedtem o sprawach tak głębokich, że się na myśl o nich dostaje zawrotu głowy, jak gdybyś patrzył w przepaście?

- Bałem się zawsze myśleć o rzeczach takich, albowiem wtedy czuję nudności i ściskanie w gardle, nakazałem więc myśleć o tym wielkiemu wezyrowi.

- Dobrześ uczynił, Al Maharze; powiedz mi jednak, czy nie myślałeś o tym, że wśród poddanych twoich są ludzie nieszczęśliwi?

- Nie może to być, jeśli ja jestem kalifem, dlatego i tym także nie trudziłem myśli.

- O czym ty myślałeś?

- Czy można wstrzymać pęd fal na morzu, aby zapamiętać ich kształt? Jak chcesz, abym pamiętał, o czym myślałem przed dawnym czasem?

Mędrzec myślał chwilę, potem rzekł;

- Zamykasz przede mną wszystkie drzwi, tak że nie mogę wejść do pałacu twojej duszy i dostrzec w nim złoczyńcę, który się ukrył w twojej piersi i kraje twoje serce tępym nożem. Ukaż mi swoją duszę, Al. Maharze, i powiedz mi o niej wszystko.

- Dusza moja jest bardzo nieszczęśliwa…

- Oooch! - rzekł mędrzec - czy nic więcej o niej nie wiesz?

- Zaprawdę, nie wiem nic więcej.

- I chcesz, abym ją uleczył?

- Rzekłeś!

- I czego chcesz jeszcze?

- Abyś mnie nauczył swojego uśmiechu. Czego chcesz za to?

Jak kupiec, co ukazuje najcenniejszą rzecz w swoim bazarze, uśmiechnął, się właśnie mędrzec owym cichym, dobrym uśmiechem, który podobny jest do woni kwiatu i do świegotu ptaka, do szelestu palm i do śpiewu niewolnic, zaś Al Mahar wpatrzył się w ten uśmiech drapieżnie, jak gdyby go chciał zedrzeć z twarzy starego człowieka.

- Jeśli chcesz kupić mój uśmiech - mówił mędrzec - tedy mi powiedz, kalifie, co masz, czym byś mi go mógł zapłacić?

Kalif mówił szybko:

- Mam w skarbcu tyle drogich kamieni, że ich trzydziestu nie udźwignie niewolników. Chcesz je?

- Mało! - rzekł mędrzec i uśmiechnął się.

- Mam sześć tysięcy dromaderów i trzy tysiące wielbłądów, dwa noszących garby; sześć tysięcy mam koni i trzy tysiące klaczy, bez liku zaś osłów i mułów.

- Mało! - rzekł mędrzec.

- Mam tysiąc dwieście żon, z których nie zatrzymam ani jednej. Chcesz je?

- Mało! - mówił mędrzec, jakby wszystkich innych słów zapomniał ze starości, zaś kalif dysząc szybko, wyliczał;

- Wszystkich niewolników ci oddam, których mam w moich ziemiach.

- Mało!

- Dam ci pierścień, w którym jest pasmo włosów Proroka.

- Mało!

- Allach! - jęczał kalif - dam ci zielony płaszcz Proroka i rozkażę, aby grób twój był święty.

- Mało, och mało!

- Dam ci mój turban i mój miecz, moje berło i moje imię. Chcesz być kalifem?

- Wszystko to jest mało! - odrzekł mędrzec i śmiał się, zaś wzrok miał niezmiernie litościwy.

Zaś kalif osłabnął, bo się osunął na poduszki jak człowiek bardzo chory, i aż oczy przymknął od nadmiernego wysiłku; wiele cichych kroków uczyniła noc, oczy wypatrując ku wschodowi, zanim przemówił:

- Szczęście to jest niezmierne, że nikt słów moich nie słyszał, albowiem rozniosłaby się wieść po moim kraju, że kalif Al Mahar oszalał; szalony zaś jesteś tylko ty. Myślałem, że ciebie czcić należy, a ty mnie tylko bawisz, głupcze. Powiem każdemu: Spać nie mogłem, więc przywołać .sobie kazałem błazna, aby mnie rozśmieszył…

- Nikt ci nie uwierzy, Al Maharze…

- Dlaczego?

- Gdyż nie masz na twarzy uśmiechu.

- Kęsim! - jęknął kalif i wpatrzył się w starego człowieka wzrokiem tak strasznym, że niejeden niewolnik byłby padł już trupem, rażony oczyma pana; zaś stary człowiek patrzył na niego jak na dziecko, które nie zna powodu swego wzruszenia, i milczał. Wreszcie Al Mahar, z trudem chwytając powietrze, mówił:

- Jeśli nie jesteś szaleńcem, powiedz mi, czego chcesz za uśmiech?

- Dwóch kropel krwi z twojego serca… odrzekł stary człowiek powoli i wyraźnie, tak jednak, że zimno powiało po komnacie, bo się Al Mahar aż wstrząsnął w nagłym dreszczu.

Obaj aż oddychać przestali, toteż w wielkiej ciszy można było usłyszeć wszystkie szelesty nocy, podobne do przesypywania się piasku w klepsydrze lub też do niezmiernie cichego łkania; zdawało się też, że w miarowych odstępach spływa z oblicza nocy wielka, gorąca łza i z szelestem pada na kamienie. Zaś kalif uczuł w sercu zimno, które po całym jego rozpłynęło się ciele, kiedy bowiem podniósł rękę do czoła, poczuł, że jest bardzo zimne; stało się także, że i myśli jego stały się zimne i szydercze jak stalowe ostrze z Toledo, które ma błysk szyderczy i trupi, zaś zimno lodu, by się nie mogło zawahać, szukając ludzkiego serca. Mędrzec mówił:

- Nie wylało dotąd serce twoje kropelki krwi, tak małej, jak kropla rosy na liściu, gdyż serce twoje jest mdłe i leniwe. Czemu mnie zwodzisz mówiąc, że życie twoje jest cierpieniem? Nudzisz się bardzo, kalifie Al Maharze, a mniemasz, że cię boli serce rozdarte na poły. Czemu bluźnisz przeciwko sercu? Wschód i Zachód należy do Allacha, lecz serce frwoje należy do ciebie, a" ty nim pogardziłeś. Czemu jęczysz? Myślisz, że cię nauczę sztuki uśmiechu, największej ze sztuk na ziemi, której Prorok nie znal, albowiem nie widział dzieła swego w doskonałości? To ci tylko powiem: trzeba żyć na świecie sto lat i wić się w bólu, jak się robak wije na ogniu, zanim jednego dnia powiesz sobie „zrozumiałem!" I wtedy się uśmiechniesz, a uśmiech z twarzy twojej nigdy już nie zejdzie…

- Czemu tylko dwóch kropel krwi żądasz ode mnie?

- Nieraz jedna jej kropla, wylana w nadludzkim bólu, więcej waży niż sto lat cierpienia i nieraz można, za wielką łaską Allacha, pojąć w jednym okamgnieniu tyle, ile przez wiek nie pojmiesz. O, jakże szczęśliwy jest taki człowiek, który tak tanio kupić może wiadomości o złym i dobrym!

- Czy ty byłeś tak szczęśliwy?

- Czemu chcesz ujrzeć moje serce, które jest schowane bardzo głęboko?

- W piersi?

- Nie, w grobie. Cóż ci o to, Al Maharze?

- Mów dalej - rzekł kalif - noc się kończy.

- Jeśli mi mówić pozwalasz, powiem ci: Nie uśmiecha się przecież człowiek, który tonie w morzu i którego fala zalewa; czy nie czujesz, że nad tobą szumi fala, Al Maharze? Mały jesteś i dźwignąć się nie umiesz, przeto cię małe rzeczy i małe sprawy zalały potopem, a ty, zamiast być nad nimi i spojrzeć na nie z wysoka, z bagna wydobyć się nie możesz, gdyż ci wszystko ciąży i w dół ciągnie. Jeśli chcesz uleczyć duszę, rzuć wszystko i nikomu nic nie mówiąc, kij wziąwszy w rękę, wyjdź o poranku na pustynię, a wszystkim po drodze mów: ?Czyście nie słyszeli, że nocy dzisiejszej umarł kalif Al Mahar, któremu się zdawało, że jest bardzo nieszczęśliwy?" Zaś na pustyni szukaj długo, długo i wypatruj oczy, usiadłszy na szlaku wędrowców, którędy chodzi trąd i ospa, rozpacz i nędza, głód i pragnienie, i szukaj myślą wielkiej przyczyny. Czyń tak przez- wiele dni, aż poczujesz, że wszystko na ziemi jest małe i wszystko przemija, że wszystko ma kres i granicę i że wszystkie sprawy twoje mniej są warte niźli nawóz wielbłądzi, którym można rozpalić ognisko; wielki będzie ból twojego serca, zanim się oderwiesz od tego, coś tak bardzo umiłował, i zanim zrozumiesz, że głupstwem jest wszystko wobec wielkiej tajemnicy, przed której wspomnieniem ucieka człowiek gnuśny, zły i głupi, jako ty uciekłeś. Kiedy zaś zrozumiesz, że jesteś pył i mniej znaczysz niż westchnienie, powiesz sobie: „Znałem Al Mahara, który był kiedyś kalifem, zaś dziś jest bardzo nieszczęśliwy!" Poczujesz, że serce ci się ścisnęło w nagłym bólu i tak już w nim zakrzepło, i wtedy ujrzysz nicość, nicość i nicość. Wtedy się uśmiechniesz, a twój uśmiech będzie bardzo rozumny i wszystko ci wyłoży roztropnie; nie będziesz nikogo nienawidził, a wszystkim pogardzisz…

Kalif słuchał, zmarszczył czoło, zaś w oczach miał nienawiść i wielką złość; rozważał straszne słowa starego człowieka i każde mu się wydało jak krnąbrny sługa, co się przed panem nie pochyla, ani nie baczy na jego świetność i majestat. Drgnął zaś tyle razy, ilekroć spojrzał na twarz mędrca i ujrzał na niej rozkwitły w dobroci swej uśmiech.

- Czy ty rozumiesz wszystko? - zapytał.

- Rozumiem ciebie, kalifie…

- Kto zaś rozumie wszystko, ten znajdzie wszystkiego przyczynę i wszystko przebaczy?

- Rzekłeś, Al Maharze; radują mnie twoje słowa.

- I mnie przebaczysz, cokolwiek bym z tobą uczynił?

- Powiedziałeś słusznie.

- Och! - westchnął kalif - mówisz tedy, że za dwie krople krwi z serca nauczę się twego uśmiechu, który wszystko rozumie i wszystkim pogardza? I to jeszcze mówisz, że uśmiech twój urodził się z wielkiego cierpienia i męki?

- Tyś powiedział, Panie!

- Czy wiesz, żeś obraził kalifa, w ból jego wielki nie uwierzywszy?

Stary człowiek się uśmiechnął.

Dzień się już czynił, gdyż nagły chłód pokrywał szronem każde ich słowo, tak że wyglądało dostojnie; ‘na dziedzińcu słychać już było rżenie koni i kwik wielbłądów, które się gryzły.

Kalif podniósł się powoli i me patrząc na mędrca, klasnął w dłonie, kiedy zaś ukląkł przed nim srogi strażnik, czarny jak szejtan, rzekł mu:

- Weźmij tego człowieka i każ mu ściąć głowę na dziedzińcu.

I złośliwie spojrzał na mędrca, którego uśmiech podobny był w tej chwili do słonecznego promienia.

- Prędzej! - krzyknął kalif.

- Pokój z tobą, Al Maharze! - rzekł ten i szedł powoli za sługą, zaś zwróciwszy się raz jeszcze ode drzwi, te wyrzekł igłowa:

- Pamiętaj, że radością życia jest cierpienie.

- Precz! - rzekł kalif i usiadł ciężko, czekając.

Długa minęła chwila, kiedy wszedł jeden dostojnik i upadłszy na twarz, czekał w milczeniu na zapytanie; kalif nie patrząc na niego pytał:

- Czego chcesz?

- Przyszedłem ci powiedzieć, najjaśniejszy sułtanie, że już spadła głowa owego człowieka.

Kalif milczał, ów zaś nie pytany mówił:

- Niewolnik, któremu go ściąć kazano, nie chciał tego uczynić, potem płacząc rzucił się sam na miecz i zginął. Sam ściąłem starego człowieka.

- Czy mówił cokolwiek?

- Uśmiechał się tylko bez słowa, lecz rzecz jest dziwna…

- Mów!

- Kiedy się głowa potoczyła na kamienie, uśmiech z niej znikł…

- Czy cię to dziwi, głupcze?

- Nie to, wielki kalifie!… lecz kiedy ją podnieśli, oczy w niej Jakby ożyły, z ze źrenic popłynęły krwawe łzy. To był mędrzec fałszywy, udawał tylko, że się śmieje… O, Allach! Ta głowa dotąd jeszcze płacze!

Usłyszawszy to, kalif sięgnął po kindżał, lecz nie miał już siły, aby go zabić, gdyż zatoczywszy się błędnie, omdlał.

Nikt tego dnia nie oglądał oblicza Pana, zaś nocą znikł najjaśniejszy kalif i nikt dojść nie mógł, co się z nim stało; zaś wielki wezyr szepnął mrugnieniem oka szelkowi:

- Czyż nie mówiłem słusznie, że dawno już oszalał kalif Al Mahar?

- Tyś powiedział! - odrzekł mu prawym okiem szeik.